Nr. 39. Lwów, Niedziela dnia 26. Maja 1878 r. **Tom VII.**



ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** złr. **60** cnt. półrocznie **8** złr. **80** cnt. kwartalnie **4** złr. **40** cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie **10 franków.**
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

PAULIN ŚWIĘCICKI

I JEGO NIEWYDANE DRAMATA.

Mam opowiedzieć życie człowieka, które od kolebki do grobu było w całem znaczeniu tego słowa sierocem; życie człowieka, którego dusza trawiona była nieustannie gorączką szlachetnej pracy i rwała się ku wyżynom, spychana ciągle żelazną dłonią konieczności na poziom twardej pracy dla kawałka chleba. Człowiek ten, w tej strasznej choć ukrytej walce nie poddał się do końca: nędza mogła go zabić, ale nie zmusiła go do wyrzeczenia się szlachetnych aspiracyi.

Paulin Święcicki urodził się 1841 we wsi Worszycy na Ukrainie. Ojciec Paulina był prywatnym oficyalistą. Wychowaniec Bazylianów, musiał być surowym ojcem, w pamięci bowiem Paulina przedstawiał się jako postać groźna, tem groźniejsza, im słodszą i łagodniejszą przedstawiała się obok ojca postać matki. Oprócz Paulina rodzice jego mieli jeszcze jednego syna i dwie córki. Zasoby majątkowe rodziny były bardzo szczupłe, a jeszcze więcej zeszczuplеć musiały po śmierci ojca, który umarł w pięć lat po urodzeniu się Paulina. Wcześnie już zaczęło się sieroctwo, ale żyła jeszcze matka, tak ukochana przez syna, której postać najcudniejszymi kolorami odbiła się w pamięci dziecka. Cóż, kiedy i z tą matką los nie dał mu żyć długo. Chłopaka oddano na prywatną pensyę, do niejakiego Pawłowskiego, gdzie dostał się pod rękę pedagoga starej daty, który wierzył w rózgę i kułak, jako najdzielniejsze dźwignie w wychowaniu, i metodę swoją, w przerażający dla dziecka sposób, stosował do Paulina. Dziecko było tak zastraszone, że nie śmiało nawet poskarżyć się matce, gdy ta je odwiedzała. *)

W dziesiątym roku życia, utracił Paulin matkę i sieroctwo było już zupełne. Znaleźli się jednak dobrzy ludzie, którzy się zajęli losem sierót. Mianowicie pani Orłowska z Jarmoliniec, staruszka, wzięła małego Paulina na wychowanie i wyprawiła go do szkół do Kamieńca Podolskiego. Życie szkolne daleko swobodniejsze i weselsze było dla Paulina od życia na pensyi prywatnej. Wspomnienia z tych czasów żywemi barwami odźwierciedliły się w jednej z powieści Święcickiego (wydanej pod pseudonymem Stachurskiego) pod tytułem „Trójka." Życie koleżeńskie ożywiło zmartwiałą pod srogim rządem Pawłowskiego duszyczkę dziecka, która wszystkiemi porami wciągała teraz w siebie wesołą atmosferę koleżeńską, używała swobody jak mogła i umiała i lubowała się w psotach i figlach szkolnych.

Wkrótce i za tę wesołość trzeba było zapłacić. Oskarżono dziecko przed panią Orłowską, i Paulin utracił w niej opiekunkę. W czternastym roku życia pozostawiony własnym siłom, musiał odtąd sam przebijać się przez życie, tocząc z niem walkę nieustanną, czasami bardzo trudną i smutną.

Minęła dawniejsza swoboda. Potrzeba było i samemu uczyć się i drugim dawać korepetycye, aby zarobić na utrzymanie. Szczęściem nie trudno to było dla chłopaka, który miał miłość kolegów, co się i długo po czasach szkolnych przechowała.

Ukończywszy studya gimnazyalne, pojechał Paulin do Kijowa i zapisał się na uniwersytet. Było to około r. 1860. Historya kijowskiego studenckiego życia w tych czasach zasługuje na obszerniejsze opracowanie, którego ktoś z dawniejszych akademików kijowskich powinien się podjąć. Tu podam tylko pokrótce charakterystykę tego życia, o ile ona w życiorysie Święcickiego jest niezbędną. Otóż były to czasy, kiedy w młodzieży uniwersyteckiej wielki ruch zaczął się budzić. Potępiono dawniejszy tryb życia, jaki się był wytworzył pod pobłażliwem okiem generał-gubernatora i kuratora Bibikowa, owe burdy, pijatyki i swawole, co były niejako echem bałagulszczyzny i tężyzny, a oddano się wyłącznie roztrząsaniu kwestyi społecznych i narodowych. Nauka była na drugim, jeśli nie na dalszym planie, a to dla rozmaitych przyczyn, między innemi dla tego, że profesorowie nie umieli niczem do niej zachęcić i sami niezbyt wysoko w nauce stali, jako też, że młodzież nadto była gorącą, aby mogła smakować w systematycznej pracy naukowej. Chciała ona coprędzej zreformować społeczeństwo, sądząc, że dość do tego mieć dobre chęci, jakiemi była ożywioną.

Przedewszystkiem zwróciła oczy na niedolę i nędzę ludu i chciała wynagrodzić krzywdy, jakie mu się od wieków działy. Wszędzie, gdzie tylko głos jej dochodził, propagowała, że chłop jest człowiekiem, że potrzeba się z nim obchodzić jak z bratem, oświecać go i zrobić zeń obywatela. Dziś to są wszystko rzeczy oklepane, wtedy były nowością dla szlacheckiego społeczeństwa Rusi przeddnieprzańskiej, i sprawiały ogromne wrażenie, bo wypowiedziane były z całą energią młodych serc i nieraz poparte czynem.

Demokracya młodzieży kijowskiej przybrała była szczególny charakter wskutek tego, że się znalazła na ziemi ukraińskiej. Nie dość było uznać człowieka w chłopie, chodziło o to, aby uznać odrębność plemienną ukraińskiego ludu. Pod tym względem było mnóstwo odcieni w zdaniach, niektóre z nich były owocem najbujniejszej fantazyi młodzieńczej, a nawet dla najumiarkowańszych, historycznym punktem wyjścia była ugoda hadziacka.

Demokracya tedy i ukrainizm, to były dwa główne prądy, nurtujące podówczas w młodzieży kijowskiej. Oba one szerokim strumieniem padły na młodą i wrażliwą duszę Paulina i na wskróś ją przejęły; pozostał on im wierny aż do końca życia. Nie brał wprawdzie udziału w zaciętych, nieco hałaśliwych sporach, jakie się wywiązywały w kwestyi ukraińskiej pomiędzy rozmaitemi stronnictwami w Kijowie, ale za to czynny był w inny, bardziej dodatni sposób. Wyuczył się wybornie języka ukraińskiego, tak, że władał nim równie dobrze jak polskim, i nauczał nim w małej szkółce prywatnej, którą młodzież założyła własnemi siłami. Wydawał bezimiennie różne ulotne pisemka, czytywane na posiedzeniach koleżeńskich. Studenci dzielili się wówczas na gminy prowincyonalne. Paulin, kochany i ceniony przez kolegów, zaszczycony był

*) Szczegółów tych i kilku następnych zasięgnąłem od wdowy po ś. p. Paulinie Święcickim.

przez nich jednym z koleżeńskich urzędów w gminie podolskiej.

Paulin był na wydziale prawnym. Że pod względem naukowym nie odniósł należytej korzyści z uniwersytetu, nie było to jego wyłączną winą, było to powszechną klęską, o której przyczynach już wyżej napomknąłem.

W r. 1863 opuścił strony rodzinne na zawsze i wyjechał do Galicyi. Tu znalazł się znowu bez środków do życia. Chciał wyłącznie oddać się pracy literackiej, ale jeżeli dzisiaj ta praca u nas tylko wyjątkowo przynieść może kawałek najpowszedniejszego chleba, to przed piętnastu laty szaleństwem byłoby budować na niej swój byt materyalny. Łaską to byłoby dla młodego i nieznanego autora, jeżeli utwory jego drukowano bezpłatnie, bo dawano mu sposobność do zyskania sławy... Atoli nadzieja sławy zagrzewała, ale nie karmiła. Potrzeba było jąć się czegoś, co choć lada jako ale natychmiastowo mogła byt podeprzeć. Nie wiele się namyślając Święcicki wstąpił pod imieniem Sielskiego do wędrownej trupy aktorów p. Stengla i grywał role bohaterów, kochanków, do których go warunki fizyczne, mianowicie dźwięczny głos, piękna twarz i kształtna postawa, szczególnie mogły polecać.

Nie był to jednak zawód odpowiadający pragnieniom Święcickiego, który też niebawem rozstał się z aktorstwem i osiedlił się we Lwowie, trudniąc się dawaniem lekcyi i pracą literacką. Pierwszym drukowanym utworem Święcickiego była powieść „Przed laty", wychodziła ona w Dzienniku literackim 1865. Święcicki wystąpił w niej pod pseudonymem Stachurskiego, który zachowywał aż do ostatnich prac swoich.

Ten pseudonym nie był pierwszem lepszem wymyślonem nazwiskiem, służącem do zakrycia prawdziwego: ukrywała się w nim cześć i miłość dla matki, która z domu była Stachurską. Powieść „Przed laty" jest jednym z najsłabszych utworów Święcickiego, zasługuje jednak na uwagę z tego względu, że w niej bardzo wyraźnie zarysował się już kierunek prawie całej późniejszej jego działalności literacki j. Kierunek ten możnaby nazwać ukraińsko-słowianofilskim; w poezyi najwybitniejszym i najznakomitszym jego przedstawicielem jest jak wiadomo, Bohdan Zaleski. W kierunku tym rozmiłowanie się w tle ukraińskiem kojarzy się z tęsknotą do idealnego gminowładztwa słowiańskiego i z dość jawną niechęcią dla cywilizacyi Zachodu. Bolejąc nad ubóstwem, ciemnotą i zależnością ludu wiejskiego, wzdychał Święcicki do owych czasów, w których podług jego mniemania ten lud był niezależnym, samodzielnym i szczęśliwym.

Jednocześnie wydawał *Sioło*, peryodyczne pismo kwartalne, które przeważnie zapełniał swojemi pracami, pisanemi tak w języku polskim, jak w ukraińskim. Głównem zadaniem tego pisma było zaznajomienie Polaków i Rusinów halickich z literaturą ukraińską, a zarazem zbliżenie i zbratanie dwóch pierwiastków plemiennych, żywiących zadawnione ku sobie niechęci. Na tem polu położył Paulin Święcicki wielkie zasługi; nikt też w tym kierunku nie mógł działać skuteczniej od niego, który wybornie znał język ukraiński i władał nim lepiej, niż ktokolwiek w całej Galicyi. Prócz tego w tym samym duchu pisywał artykuły do ruskiej „Nywy", wychodzącej podówczas we Lwowie. Działalność ta Święcickiego nie mało się przyczyniła do wytworzenia się wśród Rusinów halickich stronnictwa ukraińskiego.

W r. 1867 Dziennik literacki drukował dwutomową powieść Święcickiego p. t. *Trójka*. I tej powieści nie brak tendencyi ukrainofilskiej, ale tendencyjność nie hamuje tu swobodnego i żywego opowiadania, jakiem się szczególnie pierwszy tom odznacza. Opowiedziane tu są ze swobodnym humorem przygody i psoty szkolne trzech chłopaków, z których dwaj należą do szlacheckiego społeczeństwa, trzeci zaś Pańko, postać bardzo oryginalna i szczęśliwie zarysowana, należy do ludu. „Trójka" przypomina powieści hiszpańskie w stylu „picaresco", tylko należy pamiętać, że Święcicki bynajmniej nie naśladował tego stylu, a oryginalnie go sobie wytworzył.

(Dok. nast.)

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

III.

Stary Leszczyc bojąc się, aby syn jego nie znudził się, pragnął coprędzej wciągnąć go w towarzystwo miejskie; grała w tem także duma ojcowska niepoślednią rolę — chciał pochwalić się synem przed ludźmi, zwłaszcza że sami dopominali się o to.

— A cóż to nie zprezentujesz nam pan swojego infanta? — zapytał go jednego dnia aptekarz. — A burmistrz zaciągnął go na lampkę wina z tego powodu i gwałtem dopominał się o wizytę.

— Ta niech przyjdzie, rozerwie się trochę — mówił protekcyonalnie. — Może nawet jest muzykalny, u nas jest fortepian.

— Sam nie gra, ale lubi muzykę.

— No to mu Anielcia zagra. Młody potrzebuje młodego — między nami starymi toby się zanudził na śmierć. Niech się bawią póki młodzi. No, zdrowie naszych dzieci.

Leszczyc podziękował za zdrowie syna i szturchnął się lampeczką z burmistrzem. Serce ojcowskie rosło jak na drożdżach, że syn, lubo nieznany jeszcze osobiście, umiał sobie już zjednać sympatyę i tak się o niego dobijano. Nie przypuszczał, że aptekarz pragnął tylko w nim mieć jednego człowieka więcej, przed którym by mógł wygadać się ze swojemi pessymistycznemi poglądami na świat, a może też jako od człowieka przybywającego z wielkiego świata, chciał zaczerpnąć szerszego oddechu i nowszych wiadomości. Najmniej zaś przypuszczał, aby burmistrz widział w nim konkurenta do córki. Staremu księżniczka mało się zdawała dla takiego dorodnego i utalentowanego chłopca; marzył dla niego o Bóg wie jak świetnej przyszłości, ani mu więc na myśl nie przyszło, aby tłusta burmistrzówna była tak nierozsądną.

— Ot zwyczajnie ludziska ciekawi — tłómaczył sobie — radziby poznać politechnika z Wiednia i niecierpliwią się. A chłopak umie się cenić, nie narzuca się ludziom. No, ale kiedy proszą.

I wytłómaczył synowi, że koniecznie wypada, aby poszli z wizytą do niektórych domów. Zaczęli od burmistrza.

Panna Aniela już od dwóch dni była pod bronią, gotowa na przyjęcie gości, to jest umyta i uczesana, co się jej rzadko zdarzało; ponawieszała kokard, kokardek, wstążek wszelakiej barwy na żółtą suknię i obsypując co chwila czerwoną świecącą się twarz pudrem, oczekiwała, jak owe panny ewangieliczne przyjścia oblubieńca. To też ledwie spostrzeżono go w ulicy, panna coprędzej rzuciła się do fortepianu i zaczęła masakrować bez litości jakiś mazurek Szopena i biła w klawisze tak, aby na ulicy dobrze słychać było. Mama tymczasem pobiegła do sypialnego pokoju zamienić zatłuszczony szlafroczek na materyalną suknię, a ciocia, maleńka figurka, zawiędła, głucha, z zatabaczonym nosem, dostała rozkaz wykadzenia prędko salonu i gotowania kawy na przyjęcie gości. Posłano także coprędzej po burmistrza do Josla.

— To burmistrzówna gra — objaśnił ojciec syna, gdy się zbliżali do domu burmistrza.

— A to się tłucze, niech jej nie znam.

— Fortepian trochę rozstrojony, bo tu u nas trudno o stroiciela — usprawiedliwiał Leszczyc, chcąc synowi jak najlepiej zarekomendować znajomości swoje.

— Ależ tu ktoś umarł — wyraźnie zalatuje mnie zapach kadzidła przez okna.

— Złośliwym jesteś, mój Jasiu — odezwał się stary z uśmiechem zadowolenia i chciał znowu coś powiedzieć na obronę kadzidła, gdy z handlu od Josla wytoczył się burmistrz zarumieniony jak księżyc o wschodzie, z oczami świecącemi i roztworzywszy szeroko ręce, zawołał swoim tubalnym głosem:

— Otóż tak to lubię mosterdzieju! Słowo się rzekło, kobyła u płotu. — Proszę, bardzo proszę kochanych panów — bez ceremonii. — I począł ściskać obu.

— Mój syn — odezwał się Leszczyc, chcąc zadość uczynić formom.

— Ależ wiem, wiem proszę kochanych panów — i wniósł ich prawie do tak zwanego salonu, w którym jedynaczka jego tłukła się wciąż zapamiętale po klawiszach, udając, że wcale nie spostrzega wchodzących, choć wpadli z hałasem i impetem wepchnięci przez gościnnego burmistrza. Dopiero gdy papa zawołał: moja córka — nagle urwała, zerwała się i usiłowała być pomieszaną, zażenowaną.

— No, no, graj, nie przeszkadzamy ci, bo to powiadam panom passyonowana do muzyki. Pan nie znałeś mojej córki jeszcze, panie Leszczyc — spytał zwracając się do starego. — Nie ułamek — prawda?

Burmistrz był dumny na wzrost i bizantyński styl swojej córki. „Dziewczyna jak słoń — mawiał nieraz u Josla, gdy był pod dobrą datą — jest na co spojrzeć, wszystko panie jak utoczone, ulane. To też chłopcy palą się do niej aż strach, ale cóż kiedy wybredna. Bo też ta młodzież dzisiejsza to panie do niczego. Gdyby tak na mnie padło, tobym dotąd szturmował pókibym panny nie zdobył". Pomimo tej zachęty ze strony papy nikt jakoś ani z miejskiej, ani okolicznej kawaleryi nie zabierał się do szturmu i forteca dla braku zdobywających pozostała nie zdobytą.

Prawdę powiedziawszy pod względem budowy nie wiele pannie możnaby zarzucić; ale za to twarz wiele bardzo zostawiała do życzenia, bo najprzód zeszpeciła ją ospa, a nadto szpecił ją krótki, perkaty nosek, wie-

cznie zaczerwieniony od kataru, małe oczka, które na obszernej twarzy jeszcze mniejsze się wydawały i rzadkie ząbki wązkie, szpilkowato zakończone.

— No, zagraj co panom, Anielciu, bo pan... pan...

— Jan — podpowiedział ojciec.

— Pan Jan wielki amator muzyki.

— Kiedy ja nie gram — zaczęła się wymawiać panna.

— Ale owszem, słyszeliśmy — odezwał się młody Leszczyc, uważając że wypada coś powiedzieć.

— O, bardzo przepraszam, to się pan bardzo mylisz — ja prawie teraz nic nie gram.

— No, ale przecież choć krakowiaczka — albo polkę.

— Ależ fe, tato — któż takie rzeczy grywa — Szopen, to co innego.

— To może pani będzie łaskawa Szopena — wykrztusił z siebie z trudem Jan, aby uczynić zadość wymogom grzeczności.

— Kiedy ja jak Bozię kocham, nic nie gram.

Jan nie mógł już strawić tej „Bozi“ i skrzywił się okropnie. Panna znowu zaczęła się wymawiać i nie byłoby końca tej nudnej scenie, gdy na szczęście weszła mama w czarnej *materyalnej* sukni, w świeżym czepku z atłasowemi, żółtemi wstążkami.

I ta uważała za dowód dobrego tonu, zadziwić się na widok gości.

— A, to panowie — a ja nie ubrana — panowie darują.

— Ale darują, darują — ta to jakby swoi — poczciwi, kochani — tu znowu nastąpiły uściski i całusy — no, siadajcie, siadajcie — i sadowił ich gwałtem.

— Ależ mężu, jakże można.

— Co takiego?

— Sadzasz panów na niewyścielanych.

— E, furda, panie — ta przecie odgniotków nie dostaną.

— Fe, mężu, wyrażasz się tak *nie politycznie*.

Znowu kawałek czasu zabrała ceremonia sadowienia gości na wyścielanych krzesłach, jak sobie tego koniecznie życzyła mama. Sama usiadła na kanapie i rozpoczęła konwersacyą.

— Wiedeń to podobno wielkie miasto?

— O, bardzo wielkie, pani dobrodziejko.

— Ja zawsze życzyłam sobie być w Wiedniu, ale jakoś nie było do tego okazyi, mój mąż tak zajęty urzędowaniem. A namby tak trzeba koniecznie wyjechać do większego miasta. Anielka zaniedbała się w muzyce; a to nie odżałowana szkoda, bo powiadam panu, nie dla tego, że moje dziecko, ale ogromny talent. W Wiedniu miałaby po temu wielką sposobność.

— Słyszyć takiego Strausa, to już wiele znaczy — wygłosiła z powagą córka.

— Już to nie ma jak wielkie miasto — ciągnęła dalej mama, udając głową ruch wielkich dam — tu w tej dziurze to doprawdy człowiek nawet nie wie, że żyje. Gdyby nie bratowa moja, co nam posyła „Bazar“ ze Lwowa, to człowiek nawet nie wiedziałby, jak się ubrać przyzwoicie i chodziłby jak czupiradło jakie.

Janowi przyszła złośliwa ochota zapytać mamy, czy toaleta panny Anieli także z „Bazaru“ wzięta.

— A, to już jej własna fantazya — rzekła matka z chlubą — ona zawsze umie wymyślić coś niezwyczajnego, zwyczajnie jak artystka.

Nie wiadomo czy ta pochwała mamy tak połaskotała nerwy panny, czy też to było naturalne działanie kataru, ale panna Aniela kichnęła, aż się okna zatrzęsły.

— Sto lat zdrowia! — huknął papa.

— A! fe, fidonc mężu, któż się tak *niepolitycznie* odzywa. Teraz po wielkich domach nie mówi się na zdrowie, wszak prawda, panie? — I twarzą zrobiła grymas dumnego zadowolenia ze swego znalezienia się, dumną była, że mu mogła zaimponować tą znajomością form towarzyskich. Twarz jej zdawala się mówić: widzisz i my także coś wiemy.

Jan siedział jak na mękach. Rozmowa robiła na nim takie wrażenie, jakby mu emetyk pchano w gardło i ciepłą wodę popijać kazano; pocił się i poglądał co chwila na ojca, rychło się skończy ta wizyta. Stary Leszczyc spuszczał oczy ze wstydu przed synem, wstydził się nieborak za całe towarzystwo, którego śmieszności i głupota wobec syna jeszcze mu się bardziej rażącemi wydawały — i przez wrodzoną dobroć serca umyślnie często głośno nos ucierał, aby zagłuszyć niefortunne odezwanie się panny lub mamy. (Tatkę zagłuszyć było już niepodobieństwem). Nareszcie, widząc, że burmistrzowstwo usiłując popisywać się przed jego synem, brnęło coraz więcej w śmieszności, z litości nad nimi i nad synem zdecydował się zakończyć tę męczącą wizytę — ale wejście cioci udaremniło ten zamiar.

I ona także wystroiła się w popielatą odświętną suknię z bułkami, w których pełno tabaki, czy też kawy spoczywało, bo jeden i drugi odór silnie bił od cioci. Zapach kawy, którym przesiąkła w kuchni przeważał i stary Leszczyc z tego zapachu wymiarkował zaraz, że im będzie trudno wymknąć się przed kawą. Zrezygnowany więc usiadł napowrót. Tymczasem ciocia chcąc się także popisać z czemś przed gośćmi, wysunęła się na sam środek pokoju, przysiadła prawie do samej ziemi, potem nagle cofnęła się w tył dwa kroki. Był to dyg, którego się ciocia uczyła przed czterdziestu laty we Lwowie od jakiegoś nauczyciela tańców. Stosownie do tego ułożyła twarz pofałdowaną w wyraz uprzejmego uśmiechu, przyczem dziurki od zadartego nosa, tak się rozszerzyły, że cała tabakierka tabaki byłaby się w tej chwili w nich niewątpliwie zmieściła.

Pani burmistrzowa nie uważała za konieczne przedstawiać gościom swojej krewnej, bo ją trzymała z łaski, choć za tę łaskę ruchliwa staruszka z procentem się odsługiwała. Była kucharką, szafarką, szwaczką, pokojówką, wszystkiem, bo pani burmistrzowa trzymała tylko posługaczkę, a sama nie zajmowała się niczem.

Ciocia nie czuła się wcale dotkniętą tem zapomnieniem, nie przypuszczała, aby goście nie wiedzieli kto ona, i była bardzo zadowoloną, że się jej ukłon udał jak rzadko. Najczęściej bowiem się zdarzało, że ciocia przy takich popisach z ukłonem, albo Azorkowi na nogę wlazła, albo się o stołek potknęła. Tym razem poszło bez przypadku, to też ciocia z rozpromienioną twarzą zabrała się do nakrywania stolika.

— Cóż to nam tam takiego dacie? — spytał burmistrz udając, że nic nie wie o kawie, którą sam od Josla przyniósł.

— Panowie może kawy pozwolą?

— E! kawa, babski trunek. Możeby tak lepiej po lampeczce wina. Ciotko! każno nam podać z piwnicy.

Czcigodny burmistrz dla honoru domu popełnił za jednym zamachem aż dwa kłamstwa, bo piwnica jego dawno już nie widziała wina, a ta buteleczka, którą przyniósł wraz z kawą od Josla, znajdowała się w kuchni i ciocia musiała ją własnoręcznie wytransportować do pokoju, bo kazać nie było komu.

— Niech sobie tam kobiety kawę, a my sobie mospanie nasze hungaricum.

— Ależ mężu, może panowie wolą kawę.

— Gdzieby zaś woleli.

— Ja, jeżeli już co, to kawę — odezwał się młody Leszczyc z rezygnacyą.

— Otóż to młodzież, od wina ucieka. My starzy nie tacy, prawda panie Leszczyc? My sobie zostaniemy przy winku. Chodźmy do mego pokoju, tam sobie będziemy mogli swobodnie pogawędzić i fajeczkę zakurzyć. Fajka, gawęda, gawęda, fajka, wino, to lubię, w to mi graj.

I mówiąc to zabrał wino i Leszczyca ze sobą. Ciotka przedtem już wysunęła się do kuchni. Mama także znalazła sobie jakiś powód wyjścia z pokoju i Jan ani spostrzegł, jak znalazł się sam na sam z panną Anielą.

Czas jakiś trwało milczenie. Panna czekała, nie chcąc pierwsza rozpoczynać rozmowy. a Jan nie miał wcale ochoty. Był zły, znudzony, miał żal do ojca że go tu na takie nudy sprowadził, przeklinał w duszy tego, co pierwszy kawę do Galicyi wprowadził, przez co przedłużył w obecnej chwili o jaką godzinę jego męki. Siedział tedy zachmurzony i nie zadawał sobie wcale pracy bawić panny. Rada nie rada musiała zacząć sama.

— Budzę pana.

— Ja nie śpię.

— Ależ mówi się: w kolorze.

— Jakto w kolorze?

— W jakim kolorze pan chcesz, żebym pana zbudziła?

— W jakim się pani podoba.

— Naprzykład w białym.

— I owszem.

— Ależ nie mówi się: owszem; tylko czy pan kocha tę osobę, albo lubi, albo nienawidzi.

— Którą osobę?

— Ach jakiż to ignorant — pomyślała sobie w duszy ze zgorszeniem panna Aniela, a głośno dodała: ja panu już powiem która, tylko pan musisz pierwej powiedzieć czy kochasz.

— A! więc zgadywanego? No, więc nie cierpię.

— Panna Inspicyentówna.

— Kiedy ja nie znam żadnej panny inspicyentównej.

— Jakto? nie poznał jej pan jeszcze. To dziwna, bo ona od rana do wieczora *szwenda* się po mieście, wszędzie jej pełno. To pan może i panien kontrolorównych także jeszcze nie poznał.

— Oprócz pani nie poznałem nikogo.

Panna Aniela spociła się w jednej chwili z uciechy, tak, że krople potu wyżłobiły sobie w pokładach pudru kręte strumienie i spłynęły

na gors obfity. Uważała jednak za stosowne nie pokazywać swego zadowolenia, otarła twarz chustką i mówiła z pozorną obojętnością dalej o pannach kontrolorównych.

— Bardzo miłe panienki; tylko młodsza trochę zyzuje. Robili jej podobno operacyą w Krakowie ale się nie udała. A szkoda, bo gdyby nie to, byłaby wcale niebrzydka panna, choć panowie utrzymują, że ma złą figurę. Za to starsza, to już wcale się nie udała.

— A któraż się tu udała, proszę pani? — zapytał Jan trochę drwiącym tonem. Zaczęło go to bawić w jaki sposób Aniela zaczęła malować, a raczej czernić swoje znajomości.

— Niby to o pannie Jędykalskiej mówią, że nie brzydka, ale okropnie chuda a ręce ma jak kucharka czerwone i ostre.

Przy tej sposobności uważała panna Aniela za stosowne uwidocznić swoje pulchne ręce z dołeczkami, i z różowemi paznogietkami.

— Ha, nic dziwnego — ciągnęła dalej pochwały panny Jędykalskiej — kto musi sam prać, prasować. Mówią że nawet ziemniaki skrobie.

— Któż to jest ta panna Jędykalska?

— To niby matka jej jest wdowa po doktorze, ale on właściwie był tylko chirurgiem i pił okropnie. To też teraz tam bieda, że aż piszczy.

W podobny sposób zachwalała mu wszystkie wybitniejsze, to jest kapeluszowe postacie niewieście. Jan widząc, że panna Aniela ma tak obszerne i szczegółowe wiadomości o całej niewieściej ludności miasta, wpadł na myśl, czy przypadkiem od niej nie dowiedziałby się czegoś o swojej pięknej nieznajomej z owego tajemniczego ogródka i spytał jej się:

— A czy pani nie wie, kto mieszka za klasztorem niedaleko tej wąskiej uliczki, co prowadzi do rzeki.

— Na ogrodowej? Tam nikt z porządnych nie mieszka.

— A jednak ja tam widziałem zdaje mi się jakąś smagławą brunetkę, wcale przystojną.

— A, to żydówka — rzekła z pogardliwym grymasem.

— Cóż to za jedna? — indagował tem uporczywie.

— Nie wiem, podobno córka jakiegoś handlarza zboża czy bydła. Ojciec ją tu trzyma, bo podobno chce ją przechrzcić.

Na to weszła ciocia z kawą, niezadługo i mama pojawiła się i rozpoczęła się rozmowa z kawą i grzankami, o czem Jan bardzo mały brał udział.

Tymczasem burmistrz traktował i bawił Leszczyca w swoim pokoju. Wśród kłębów falującego sinego dymu ukazywała się czasami jego twarz czerwona i pszeniczne wąsy umoczone winem. Leszczyc siedział przy nim pochylony nad stolikiem, pykał fajeczkę, słuchał i uśmiechał się swoim skromnym, nieśmiałym uśmiechem, potakując czasami głową.

Burmistrz od luźnej pogawędki i anegdotek przeszedł powoli do interesu. Miasto obowiązane było dostarczać klasztorowi dwa razy do roku na nowy rok i święty Jan po 30 korcy żyta. Burmistrz jako zarządzający funduszami miejskiemi powinien był to zobowiązanie uiścić. Tymczasem na nowy rok nie dotrzymał, tłómacząc się niemożnością ściągnięcia pieniędzy na zakup zboża. Potem zebrane pieniądze rozeszły się, a właściwie poszły na pokrycie prywatnych pretensyj Josla, a tu na święty Jan wypadało złożyć całe 60 korcy. Do tego jeszcze ceny zboża w skutek wątpliwych urodzajów podskoczyły niezmiernie w górę; burmistrz więc był w nie małych kłopotach. Miał nadzieję, że tytułem znajomości uda mu się sprawę tę ułożyć z Leszczycem korzystnie dla siebie i wykręcić się jak to mówią, sianem. Zaczął od rozpytywania go o jego stosunek z komisarzem klasztoru.

— Ta to pan podobno jego prawa ręka.

— Rzeczywiście posiadam u niego wielkie zaufanie.

— I podobno teraz wyjeżdżając do kąpiel panu powierzył interesa.

— Tak, zastępuję go w niektórych czynnościach.

— My tam także będziemy mieli coś do uiszczenia klasztorowi. Ratę na Sty Jan.

— Dwie raty, bo na nowy rok nie była uiszczona.

— Tak, tak, to podobno wynosi coś koło czterdziestu korcy.

— Sześćdziesiąt — poprawił go Leszczyc.

— Sześćdziesiąt aże — zawołał burmistrz z udanem zadziwieniem — nie wiedziałem, że to tego tyle się uzbierało.

— Dwie raty po trzydzieści korcy, krótki rachunek.

— To będzie panie skweres, bo zboże poszło w górę, a miasto ma teraz bardzo małe dochody.

Leszczyc nic na to nie odpowiedział. Burmistrz także milczał namyślając się, z jakiej strony wziąć się do niego. Po chwili zaczął zamaszyście.

— E, żebyście tak chcieli, panie Leszczyc, tobyście mogli poczciwym mieszczanom wiele w tem dopomódz.

— W jaki sposób? — spytał całkiem spokojnie Leszczyc nie domyślając się wcale do czego burmistrz zmierza.

— Zakonnice by ta nie zubożały o głupie dwadzieścia korcy, a miastu by się nie mało tem ulżyło.

— Ha, gdyby panna matka chciała ustąpić.

— Ona nawet wiedzieć o tem nie potrzebuje — mówił przysuwając się do Leszczyca. — Co tam kobiety znają się na interesach. Pokwitujecie nas z całości, a za to i wam coś kapnie.

Łypnął z ukosa oczami na Leszczyca badając, jak przyjął ten projekt.

— Nie rozumiem pana — odrzekł Leszczyc podnosząc zdziwione oczy na mówiącego.

— To przecież między ludźmi w zaufaniu takie rzeczy nieraz się robią. Ręka rękę myje, jak to powiadają.

— Ale to byłaby nieuczciwość z mojej strony.

— Kiedy bo zaraz bierzecie całą sprawę okropnie skrupulatnie. Żeby to klasztór był biedny, nie mówię, ale tłusty połeć smarować. Lepiej, że wam się coś z tego okroi, zakonnice ani poczują tego.

Leszczyc zarumienił się i pokrywając uśmiechem wzruszenie, jakie w nim wywołała propozycya burmistrza, odezwał się:

— Dajmy pokój tej rozmowie, panie burmistrzu. Ja wiem, że to żarty, ale nawet żartem o takich rzeczach mówić się nie godzi. Musielibyście uważać mnie za bardzo podłego człowieka, gdybyście na seryo myśleli o mnie coś podobnego. Ot figielki, figielki.

— A to się rozumie, że żarty — odezwał się burmistrz maskując rubasznym śmiechem reiteradę. — Chciałem się mospanie zabawić w kusiciela, ale cóż kiedy bestya majster zwąchał pismo nosem i poznał się od razu. Takich wiarusów to rozumiem. Zakonnice powinny panu Bogu dziękować, że takiego człowieka dostały. Teraz niechby mi kto odważył się słówko na was pisnąć, panie Leszczyc, no miałby się z pyszna. Zmłóciłbym go na kwaśne jabłko. Wasze zdrowie. Poczciwy, kochany! — i podniósł się ze stołka do kordyalnego uścisku.

Leszczyc dosyć chłodno, choć grzecznie przyjmował te wynurzenia czułości; nie wiedział, co trzymać o burmistrzu, co u niego było prawdą, a co udaniem i dlatego trzymał się ostrożnie, z daleka. Burmistrz tymczasem wysadzał się na coraz większą serdeczność. Chciał nią zatuszować niezręczny krok, jakiego się dopuścił. Zrobił to w nadziei, że Leszczyc miękkiego usposobienia, łagodny z natury i nieśmiały, nie będzie miał odwagi odmówić mu i zgodzi się na propozycyą, z której i jemu korzyść wypadała. Burmistrz sądził uczciwość ludzi po sobie. Teraz dopiero spostrzegł, że się przerachował i silił się błąd ten naprawić. Próbował nawet rozrzewnić się.

— Nie śmiejcie się panie Leszczyc ze mnie, że się rozczulam jak baba nad waszą poczciwością. Dziś mało takich, jak Boga kocham. Dziś jeden drugiego patrzy mospanie tylko zedrzeć, oszukać. Uczciwy człowiek, to perła panie, którą szacować trzeba i obserwować. Szczęśliwe te dzieci, co mają takich rodziców. Bo cóż my droższego mospanie możemy zostawić naszym dzieciom, jak nieskalane i uczciwe imię? To też ja nieraz mojej Anielci mówię, choćbym ci nic nie zostawił — co jest nawiasem mówiąc nieprawda, bo oprócz kamienicy dostanie się jej jeszcze coś z gotóweczki — ale ja jej zawsze mówię: Anielciu, choćbym ci nic nie zostawił, tylko poczciwe nasze nazwisko, toby znaczyło więcej mospanie, niż miliony. Pracowałem panie uczciwie, nikogo nie skrzywdziłem... tu dobył kolorowej chustki i zatrąbił na czerwonym nosie jakby na cześć swojej poczciwości, nad którą się do łez rozczulił. I kto wie, jak długoby jeszcze usiłował przekonywać starego Leszczyca o swej uczciwości, gdyby Jan, który już miał po uszy kawy i towarzystwa pań, nie był uchylił drzwi i nie powiedział:

— Ojcze, czas bo nam do domu. Matka czeka.

Gospodarstwo chciało gwałtem zatrzymać jeszcze tak miłych gości; ale Jan był niewzruszony. Nastąpiły tedy pożegnania, wśród których najgłośniej było słychać ciocine: „pamdonóg“. Panna Aniela zaś spytała na odchodnem Jana, czy nie ma co *interesującego* do czytania.

— Nic, prócz chemii — odrzekł aby się od niej odczepić. Ale nie ustraszona Aniela decydowała się nawet na chemię, bo utrzymywała, że lubi tylko poważną lekturę, a chemię nadewszystko. Może zasłyszała od aptekarza, że nauka ta traktuje o związku ciał, i ztąd wynikała ta jej predylekcya do chemii, którą objawiła w obec adepta chemii. Ale Jan nie słuchał już tego co mówiła, niecierpliwie ciągnął ojca ku domowi, i gdy się znaleźli

obaj już w pewnej odległości od domu burmistrza, odetchnął tak mocno, jakby mu cetnar ołowiu spadł z piersi:

— A! tom przebył łaźnię — rzekł ocierając chustką czoło — cóż to za ludzie? cóż to za ludzie? Jak wy tu możecie żyć wśród takiego otoczenia? A! to się śmierci równa.

— No, widzisz, nie wszyscy znowu tacy. Przekonasz się sam, jak poznasz naszego aptekarza, to bardzo światły człowiek.

— Mnie się zdaje, że nie prędko odważę się znowu gdzie pójść. Ta wizyta na długo mi wystarcza.

— To prawda, że to nie dla ciebie towarzystwo. Ale wypadało. Zawsze to niby burmistrz. Zrobiliśmy swoje, teraz możemy tam znowu Bóg wie jak długo się nie pokazać; zwłaszcza, że ten burmistrz jakoś mi się dzisiaj z wielu rzeczy nie podobał. To nie tęgi człowiek. Twoja matka miała słuszność, że się z nimi nie zaprzyjaźniała. Ona ma czasem dobre przeczucia.

Podczas kiedy ojciec z synem tak rozmawiali dochodząc do klasztoru, w salonie burmistrza następująca odbywała się scena po odejściu gości.

Naprzód panna zabrała się z zapalczywością do pożerania rożków, sucharków, których przy gościach ze względów etykiety zaledwie dotknęła szpilkowemi ząbkami; mama rozpięła co prędzej materyalną suknię, w której tusza jej już się nie mieściła należycie, ciocia dopijała niedopite resztki kawy, więcej przez oszczędnosć jak łakomstwo i zabrała się z tacą do kuchni, a burmistrz chodził dużemi krokami po pokoju rozmyślając nad tem, czy mu się rzeczywiście udało przekonać Leszczyca, że to był żart tylko, co mówił mu o owej pszenicy.

— Uwierzył, nie uwierzył — mówił sobie puszczając palce w młynka i sztukając niemi o siebie. Kabałka musiała mu wypaść pomyślnie, bo zadowolony zwrócił się do córki i matki i spytał:

— No, a co? szwarnegom wam chłopaka sprowadził, hę?

— Nie brzydki — odparła panna z grymasem — ale też nic nadzwyczajnego.

— A cóż ty chcesz, żeby miał nadzwyczajnego? Róg na czole, brodawkę na nosie. Chłopiec zbudowany jak się patrzy, ani by nikt nie powiedział, że to syn Leszczyca. A jak Boga kocham, tak prawda. Leszczyc panie chuchro, figa, że nie ma na co patrzeć, a to goliat prawdziwy.

— Cóż kiedy jeszcze pono nic nie ma — odezwała się mama chłodząc się poruszaniem spoconej koszuli.

— Nie ma, to mieć będzie, chłop młody, zdolny, Bóg wie jak daleko zajść może.

— A może także skończyć jak aptekarz — zrobiła uwagę roztropna Aniela.

— Ba, moja kochana, jak tak będziemy mówić, jak będziesz wybierała, namyślała się, to nigdy nie wydasz się za mąż. Trzeba także coś szczęściu zaufać.

— Ha, skoro tatko tak uważa — odezwała się z poddaniem się losowi.

— Tylko może wypadałoby nam teraz być u nich z wizytą.

— A czy Leszczycowa była u nas? — zawołała z uniesieniem burmistrzowa — o! niedoczekanie jej, żeby tam moja noga postała, u tej dumnej arystokratki. Dziadówka i bawi się w panią.

— No, ale teraz kiedy mamy się zbliżyć, to może wypadałoby.

— To wypada, aby pana młodego matka pierwsza krok zrobiła. Tak jest przyjęte na całym świecie.

Do tej narady familijnej przybyła niezadługo ciocia wracając z kuchni. Jakkolwiek nie wiele mogła dosłyszeć, ale z min osób rozmawiających domyśliła się, że radzono o sprawie najważniejszej tj. o za mąż pójściu Anieli. A że była przyzwyczajoną, że za jej czasów te rzeczy odbywały się krótko, w dwóch słowach, i kawaler przy pierwszej zaraz wizycie oświadczał się ze swymi zamiarami; więc też całkiem w dobrej wierze zapytała się z ciekawością:

— No, a cóż? Oświadczył się?

Aniela jednak słowa te wzięła za szyderstwo i wybuchnęła:

— A cioci co do tego? Ciocia się tylko do wszystkiego wtrąca i wszystko psuje.

— Ależ nie będę się wtrącać. Róbcie sobie jak wam się podoba, kiedy nie chcecie słuchać starszych. Żebyście byli mnie słuchali, toby Aniela już dawno była poszła za mąż.

— Bardzo proszę cioci, mnie się wcale nie spieszy. Pójdę jak mi się spodoba i bez ciocinej rady i pomocy.

Trzepała jak pantarka rozgniewana; ciotka jednak raz dla tego, że większą polowę tego nie słyszała, a powtorę, że już przyzwyczajona była do tego, dość obojętnie przyjęła ten wybuch siostrzenicy i zwracając się z flegmą do burmistrza rzekła:

— Nie uważa pan brat, że on kogoś przypomina. Kogoś bardzo znajomego, tylko sobie nie mogę spomnieć kogo, czy we Lwowie, czy w Krakowie.

— Może znowu którego... z twoich konkurentów? — spytał burmistrz drwiąco i parsknął śmiechem.

— Smiejcie się, gadajcie co chcecie, a ja taki powiadam, że on mi okropnie kogoś przypomina, bo jakem tylko spojrzała na niego, to mi od pierwszego razu wpadło, żem go już gdzieś, kiedyś widziała. Zobaczycie, że ja sobie przecież muszę przypomnąć.

(C. d. n.)

PAŃSTWO I JEGO GRANICE

STUDYUM PRAWNO-PAŃSTWOWE

przez

EDWARDA LABOULAYE.

Tłómaczył

JÓZEF SCHIFF.

(Ciąg dalszy).

Wszelako nie dość ducha germańskiego, aby zdać sprawę z tego odrodzenia. Wiele należy odliczyć na karb kościoła, prawdziwej matki nowoczesnych społeczeństw. Lecz kościół ten, któremu mamy zawdzięczyć to, czem jesteśmy, nie jest już kościołem cesarskim, jest to kościół przekształcony, i jeżeli wolno mi użyć tego wyrażenia — zniemczony.

W samej rzeczy, barbarzyńcy obaliwszy cesarstwo, znaleźli się nagle wśród narodu, który nie miał ani wspólnego języka, ani wspólnych obyczajów, ani nie podzielał ich idei. Zwycięzców i zwyciężonych jeden tylko łączył węzeł, węzeł religii. Kościół zatem zbliżył i zlał w jedno, to co nazywano cywilizacyą i co nazywano barbarzyństwem. Należy przeto odróżniać dwa państwa znajdujące się z sobą w stosunkach, i podówczas mniej aniżeli kiedykolwiek rozdzielone.

Ta rola opiekuńcza kościoła tłumaczy nam wpływ wywierany przezeń na dwa pierwsze pokolenia, i trwający przez ciąg wieków średnich. Oswobodzeni przez upadek cesarstwa, biskupi ujrzeli się naraz naczelnikami miast, doradzcami króla giermańskiego, stróżami tradycyi rzymskiej, tyleż potężnemi przy pomocy nauki, ile silnemi przez swój charakter świętości. Wszystko ich podtrzymywało: miłość zwyciężonych, szacunek zwycięzców, ogólny prąd pojęć. Od pierwszego dnia najazdu, kościół odzyskawszy swą niepodległość naturalną, hołdował polityce, która mu świat cały zjednała. Była to, w odpowiednich rozmiarach, polityka rzymska, zastosowana do rządzenia umysłami. Naprzód więc kościół przestał ulegać ziemskim powagom, lecz nie zatrzymał się na tem. Ośmielony, zachęcony powszechnem mniemaniem, Rzym ze sprzymierzeńca stał się panem, i marzył o ujarzmieniu władzy doczesnej, lecz nie na to, ażeby rządzić za pomocą księży, bynajmniej — duma giermańska czy feodalna oparłaby się temu: wszystko czego żądał taki Grzegorz VII. lub Jacenty III., zasadzało się na tem, ażeby królowie uznali się duchowymi wasalami, synami posłusznymi kościoła, aby w kościele uznali ostatnią instancyą.

Odtąd rozpowszechniło się pojęcie o państwie zupełnie odmienne od rzymskiego. Dwie potęgi podzieliły się światem, i najwyższy kierunek spraw ludzkich przysądzono nie sile brutalnej, lecz władzy religijnej, tj. władzy moralnej i umysłowej. Klodoweusz u nóg św. Remigiusza, Karol Wielki koronowany przez papieża składają hołd prawu nowemu. Odtąd religia stanęła zewnątrz i po nad państwem. Było to pierwsze i najdawniejsze zwycięztwo czasów nowożytnych, oswobodziło ono nas od boskości Cezarów, tej hańby ciążącej nad ludem rzymskim. Bezwątpienia, kościół i państwo zbyt często zawierały przymierze, którego ofiarą bywało sumienie, ale przynajmniej nie widziano już panującego, który na mocy swego zwierzchnictwa, przywłaszczyłby sobie prawo kierowania przekonaniami i narzucania wiary. Nie jako Cezar, lecz jako starszy syn kościoła Ludwik XIV. prześladował protestantów, czołem bił przed ewangelią, pogwałcając takową. Prawo też, na które się powoływał, mówiło przeciwko niemu i zastrzegało sobie przyszłość.

Kościół feudalny podobnie jak kościół barbarzyński zabrał się na seryo do panowania nad umysłami przysądzonego mu przez mniemanie powszechne. Potrzebował on całej duszy nowych pokoleń, panującemu zostawił tylko ciało. Wiarę, cześć, moralność, wychowanie, literaturę, sztuki, nauki, ustawodawstwo cywilne i karne, wszystko kościół dzierżył w swem ręku. W taki to sposób wieki średnie rozstrzygnęły trudne pytanie o granicach państwa.

Czy podział ten między władzą doczesną i kościołem nie był raczej despotyzmem dwugłowym? Nie, kościół był przez długi czas liberalnym, a usunąwszy na bok herezyą, nie lękał się wolności. Nic bardziej swobodnego, np. nad ten

niespokojny, ruchliwy uniwersytet paryski, do którego zbiegano się z całej Europy, w którym poruszano najśmielsze zagadnienia. W czasie gdy zwątpienie było tylko chorobą kilku umysłów awanturniczych, jak np. nieszczęśliwego Abelarda, wolność ta co prawda, przedstawiała mało niebezpieczeństw. O wszystkiem można rozprawiać, jeżeli rozwiązanie z góry jest znanem. Lecz bądźmy sprawiedliwymi względem kościoła, jemu się zdawało, że dopuszcza wolność. Mniemanie powszechne nie domagało się więcej nad to, na co on zezwalał. Bądź co bądź, za czasów Gersona, nauczanie szło śmielej niż za czasów Bossueta, a uniwersytet był bardziej niezależnym niż dziś.

Feudalizm nie przytłumił idei rzymskich. Od samego zaraz początku głucha reakcya jątrzyła się przeciwko nadużyciom i gwałtom podboju, później, przeciwko grabieżom baronów. Za panowania Filipa Pięknego, reakcya zwycięża, a wraz ze zwycięztwem odradza się prawo rzymskie. Przy pomocy Dygiestów i kodeksu, prawnicy zaczynają podkopywać swobody feodalne. Ideałem ich jest państwo rzymskie, jedność i równość pod władzą zwierzchnią zależną tylko od Boga. Dewizą ich jest: jedna wiara, jedno prawo, jeden król. Król Francyi, powiadają oni, jest Cezarem w swym kraju, na jego to korzyść przetłumaczyli maksymę cesarską: Quod principi placuit legis habet vigorem — Si veut le roi, si veut la loi.

Wojna przeciwko feodalizmowi trwała dłużej niż 3 stulecia. Naród uciśniony walecznie wspierał broniących jego sprawy, lecz podczas gdy w Anglii baronowie dla obrony swych przywilejów łączyli się z krajem i z obyczajów narodowych wywodzili wszystkie zawarte w nich swobody, królowie Francyi zadowalniali się przyznaniem podtrzymującemu ich ludowi, tych rękojmi cywilnych, które każda władza nieograniczona bez narażenia siebie może udzielić. Filip Piękny i jego następcy zgnietli baronów i doprowadzili do posłuszeństwa tych tyranów podrzędnych, mając na uwadze obrócenie na swą wyłączną korzyść wszystkich sił Francyi. Zyskała na tem równość, lecz nie wolność.

Za długoby trwało śledzenie za tą wieczną walką we Francyi władzy królewskiej przeciwko staremu duchowi niepodległości. Zręczności, siły, podstępu, oręża, praw, sądów, niczego nie szczędzono dla odzyskania zwierzchnictwa, dla odbudowania cegiełka po cegiełce, gmachu cesarskiego. Zamki, miasta i wsie poddać królowi, najdumniejsze głowy nagiąć pod jarzmo powszechne, przygotować jedność prawodawczą, powiększyć zarząd,ześrodkować rząd, takie były stałe prace królów francuskich i ich doradzców. Panujący się zmieniają, ale nie zmienia się tradycya. Karol V. i Ludwik XI., Franciszek I. i Henryk IV., Richelieu i Ludwik XIV. do jednego dążą celu: chcą za pomocą despotyzmu państwa ustanowić jedność. Myśl była wielka, środek przesadzony; można zapytać dokąd wiódł on Francyą. Ryczałtem uwielbiać dzieło naszych królów, jak to robiła długo szkoła liberalna, jest to za daleko posuwać miłość jednostajności. Za drogo opłaciliśmy błędy władzy nieograniczonej, aby nam nie było dozwolonem krytykować tej polityki niepowściągnionej, która zrównawszy wszystko, nie była nawet w stanie utrzymać monarchii.

Nie ma czego żałować upadku szlachty feodalnej. Baronowie bronili tylko swych przywilejów, nie uczyniwszy nic dla swobód narodowych. Samolubstwo ich zgubiło. Szlachta francuska ma świetne wspomnienia, była ona waleczną i rycerską, lecz nigdy nie posiadała zmysłu politycznego i zbiegała się do Wersalu, by wyjednać sobie pozwolenie usługiwania królowi... Nie w taki sposób może się utrzymać arystokracya.

Co się tyczy duchowieństwa, mogło ono jak się zdaje, odegrać inną rolę, i silniejszy stawić opór królewskości. W piętnastym wieku, wpośród klęsk odszczepieństwa kościół galikański jest w pełni życia. Na soborach w Bazylei i w Konstancyi, Europa przysłuchuje się doktorom i prałatom francuskim, uniwersytet paryski jest zaszczytem i podporą chrześciaństwa. W sto lat później wszystko gaśnie. Konkordat przypieczętował niewolę kościoła, kościół cofnął się do stanowiska, na którem umieścił go Konstantyn. Panujący opiekuje się nim i wzbogaca, w razie potrzeby nawet broni go przeciw odszczepieństwu, lecz jednocześnie mianuje jego naczelników i posługuje się władzą biskupią jak środkiem rządzenia. Wiadomo, jaki może być wynik takiego nierównego przymierza. Siła kościoła jest tylko siłą opinii, której wartość spoczywa jedynie na wolności; oddać się zaś w ręce państwa znaczy to poddać się, ustąpić. (C. d. n.)

TRZY BITWY I ŚMIERĆ WODZA.

(Ciąg dalszy.)

III. Bitwa pod Szawlami w 1831 r.

Wyczekawszy dwie godziny i widząc, że Kriukow nie myśli o rejteradzie, Dembiński zdecydował się ruszyć ku Szawlanom, żeby nie być rozbitym do przybycia Giełguda; lecz w chwili gdy adjutanci roznosili już rozkaz, przybył posłaniec Giełguda z uwiadomieniem, że główne siły idą ku Szawlom. Dembiński i wojsko jego byli niezmiernie uszczęśliwieni, bo wszyscy spodziewali się, że miasto będzie wzięte, a w nim znajdą broń, wezmą armaty i ładunki, których już brakło. Drugi adjutant Giełguda przyniósł wiadomość, że głównodowodzący odesławszy obóz swój do Rekiowskich lasów, wystąpił z Szawlan w dwóch kolumnach: Szymanowski przez Rekijów, a główne siły przez Podubiś i Bubie. Zaatakować miasto miano o pierwszej godzinie w nocy z dwóch stron; sygnałem do ataku miały być dwie race puszczone z zachodniej strony miasta.

Po przybyciu oddziału Szymanowskiego (3 tysiące piechoty i 80 kawaleryi) Dembiński kazał pułownikowi Brzeżańskiemu pozostać na Mitawskiej drodze, żeby przeciąć Moskalom drogę odwrotu i w tymże kierunku wysłał 18 pułk piechoty pod dowództwem Sierakowskiego, któremu oddano dowództwo nad całym oddziałem i polecono nie wypuścić nieprzyjaciela z miasta w nocy.

Na biwakach nie kazano rozpalać ogni, żeby nie przepuścić sygnału, po którym natychmiast miano wyruszyć do ataku, ale sygnału nie było. W głównym sztabie przespano godzinę wyznaczoną i zaledwo o pół do czwartej ordynans uwiadomił Dembińskiego, że ponieważ nie zrobiono rac, dwa więc wystrzały armatnie będą sygnałem początku ataku.

Tym czasem zaszło nieporozumienie między Dembińskim a Szymanowskim. Większa część wojsk Dembińskiego znajdowała się na mitawskiej drodze, druga część miała zatrzymać Kabłukowa, tak, że Dembiński miał tylko bardzo nie wielki oddział pod ręką. Dla tego też Szymanowski, mówiąc, że on zna dokładniej pozycyę miasta bo już był tam, żądał żeby on, pomimo iż był młodszy, dowodził atakiem. Ustępstwa tego domagał się także w imię wdzięczności za to, że przyszedł w pomoc Dembińskiemu, w chwili gdy pozycya jego była tak krytyczna. Wzięcie Szawel zdawało się tak łatwą rzeczą, że każdy z nich chciał dowodzić atakującemi, żeby imię jego znalazło się w biuletynach armii. Zasmucony Dembiński, żeby nie dać złego przykładu młodym żołnierzom, ustąpił i natychmiast postawił artyleryę swoją w lewo od drogi przed stawem na wzgórku, z którego mogła dogodnie odpowiadać nieprzyjacielowi. Za pagórkiem stanął 4 batalion trzeciego pułku strzelców z dwoma szwadronami kawaleryi. Oddziałem tym, następując po drodze wileńskiej, Dembiński miał zamiar wesprzeć atak Szymanowskiego, który wszystkie swe wojska z artyleryą uszykował z prawej strony drogi, na bagnistej miejscowości między stawem i pierwszem jeziorem. Przed nim na wzgórzu stało miasto; murowane domy zajęte były przez strzelców. Mnóstwo rowów z tej strony i bagnista, otwarta miejscowość, po której następowali Polacy, powinny by zmniejszyć świetne nadzieje generała Szymanowskiego co do ataku z tej strony.

O 4 z rana umówiony sygnał dał znak do boju. Giełgud i Chłapowski polecili Rolandowi dowództwo wojskiem, które miało atakować miasto z zachodnio-południowej strony, a sami siadłszy do karet pojechali po Telszewskiej drodze, jak by dla tego żeby nie brać na siebie odpowiedzialności za zaczętą bitwą. Fizyczny ból powiększał moralny upadek ducha Giełguda. Generał strasznie cierpiał na raka w nodze i obojętny na wszystko co go otaczało, myślał tylko jakby mu prędzej uwolnić się od trudów wojennego życia. Chłapowski, który się nie zgadzał na bitwę, miał twarz ponuro-wściekłą; nieustannie chodził z miejsca na miejsce, siadał na konia i złaził z niego, siadał do karety i znowu wychodził, unikał adjutantów, którzy czekali od niego rozkazów jako od szefa-sztabu i nie odpowiadał nikomu na pytania. Pierwszemu ułańskiemu pułkowi i piechocie, która dawniej była w oddziale jego, kazał zająć Bubie dla odparcia Moskali, gdyby się pokazali ze strony południowej.

Atak się zaczął. Połączone siły Dembińskiego i Szymanowskiego (około 5 tysięcy przy 8 działach) szły ze wschodu; Sierakowski z dwoma i pół tysiącami stał z północy a Roland z 7 tysiącami przy 20 armatach z zachodu.

Szymanowski chcąc nastraszyć Moskali, całą swą piechotę rozsypał w łańcuch tyralierski, nie pozostawiwszy żadnych rezerw. Dembiński posłał doń adjutanta, zaklinając pozostawić w rezerwie choć kilka kompanii, lecz, że w tej chwili tyralierski łańcuch Moskali zaczął rejterować się, Szymanowski wskazał nań ręką posłańcowi i nie zrobił żadnego rozporządzenia. Zbyt długi łańcuch strzelców Polskich musiał się zaraz złamać, bo prawe skrzydło było wstrzymane jeziorem, wt dy gdy lewe swobodnie posuwało się naprzód. Kilka kartaczowych szczęśliwych strzałów i atak na bagnety batalionu moskiewskiego stojącego w tem miejscu powstrzymały Polaków i zmusiły ich do reiterady. Widząc to Dembiński skierował dwie kompanie 3. pułku po drodze, dla atakowania Moskali z boku. Ruch ten zmusił piechotę, która już się rzuciła na armaty Szymanowskiego, cofnąć się nazad

Jednak atak tych dwóch kampanii posuwających si po drodze nie udał się, bo spotkane silnym ogniem artyleryi musiały odstąpić, dawszy jednak oddziałowi Szymanowskiego czas uorganizować się nieco; lecz już ani prożby, ani rozkazy nie mogły zmusić oddziału iść naprzód. Żołnierze położyli się na ziemię, lub schowali się za krzaki i ztamtąd zawiązali tyralierkę z Moskalami.

Ponieważ przy reiteradzie dwóch rot piechoty 3 pułku, zajęły one budynki znajdujące się przy drodze i młyn, cała więc przestrzeń między stawem i jeziorem znajdowała się w ręku Polaków. Widząc potrzebę podnieść ducha wojska w jakikolwiek sposób Szymanowski i Dembiński, zdecydowali się zaatakować miasto kawaleryą po wileńskiej drodze. Szwadron litewski kawaleryi pod dowództwem Narbuta, mając na przedzie księdza z krzyżem, rzucił się do miasta trójkami galopem, za nim jeszcze wyruszyło 25 ochotników z kawaleryi Dembińskiego pod dowództwem Ostrowskiego. Zobaczywszy, że atak się udał, bo Narbut i Ostrowski wpadli do miasta, Dembiński posłał za nimi jeszcze dwa szwadrony Janowicza i część piechoty, lecz było już za późno, bo na drogę wyszedł batalion moskiewskiej piechoty, a kilka wystrzałów kartaczowych zrobiły wielkie zamięszanie w kawaleryi i zmusiły ją do odstąpienia; piechota zaś polska widząc Moskali na wzgórzach i reiteradę kawaleryi nie chciała iść naprzód. Dembiński wnet posłał batalion trzeciego pułku lecz i ten atak został odparty. Szymanowski rzucał się w największy ogień; koń pod nim był zabity, mundur i płaszcz miał podziurawiony od kul jak rzeszoto; nic jednak nie pomagało, bo wojsk swoich nie mógł zebrać i pchnąć naprzód. Z rozpaczy płakał jenerał i darł włosy na głowie, lecz płacz w tych razach nie pomaga.

Tymczasem Narbut i Ostrowski pędzili do miasta. Okienice i drzwi domów wszędzie były zamknięte; na ulicach nikogo nie spotykali, prędko przeto dopadli do rynku, gdzie stał obóz ustawiony w czworobok, w środku którego znajdowali się ranni. Rezerwa moskiewska w tej chwili była wysłana przeciw Rolanda. Wtedy to ranny moskiewski podpułkownik Romanowski uzbroiwszy na prędce ludzi znajdujących się w obozie, bronią wziętą u rannych, postawił ich za furami i spotkał kawaleryę polską ogniem. Polacy rzucili się po mitawskiej drodze lecz stojący tam batalion odwrócił się w tył i przywitał ich także ogniem. Tegoż samego losu doznał szwadron na Wileńskiej i Telszewskiej drodze tak, że cały prawie oddział został wystrzelany. Narbut z trzema synami zginął na placu boju, a z szwadronu uratowało się zaledwo trzydziestu, z których sześciu wróciło do Dembińskiego a reszta przyłączyła się do oddziału Rolanda. Polacy zrobili ważną omyłkę, nie posławszy natychmiast piechoty za kawaleryą, gdyż wtedy świetny atak ten mógłby przynieść korzyść. Piechota nadeszła późno, akcya więc kawaleryi nie przyniosła żadnego rezultatu.

Tymczasem Sierakowski z 800 kawaleryi i 1200 piechoty stał bezczynnie około Mitawskiej rogatki i pomimo próśb oficerów nie chciał atakować Moskali, wymawiając się tem, że nie otrzymał żadnego rozkazu do ataku i że ma tylko polecenie obserwować, żeby Moskale nie mogli reiterować się swobodnie z tej strony. Niepodobna nie zrobić wyrzutu Dembińskiemu, że sam nie przyjął dowództwa nad tym oddziałem a pozostawał na Wileńskiej drodze, gdzie miał tak mało wojska w swem rozporządzeniu. W pamiętnikach swoich generał broni się od tego zarzutu tem, iż chciał to zrobić, lecz bał się Kabłukowa, który co chwilę mógł się pojawić z tyłu i dla tego uważał za swój obowiązek pozostać tam, gdzie groziło największe niebezpieczeństwo. Przekonanie, że Szymanowski nie da sobie rady w razie pojawienia się Moskali z tyłu, było przyczyną, że oddział Sierakowskiego został w bezczynności. Chcąc się uniewinnić z tego Dembiński powiada, iż oddział ten na wypadek niepowodzenia miał zadanie przykryć reiteradę i dla tego nie chciał go osłabiać, wprowadzając w bój. Jednak nie może to służyć za usprawiedliwienie, bo w czasie ataku miasta, nikomu nawet nie przychodziło do głowy żeby Moskale mogli oprzeć się takim przeważnym siłom. Sierakowskiemu zaś brak instrukcyi nie mógł służyć za wymówkę, był to bowiem zdolny człowiek, umiejący sobie dać radę i mogący pojąć jak ważną mogła być dywersya jego, wykonana w tem miejscu. Mnie się zdaje, że po prostu w gorączce walki zupełnie zapomniano o tym oddziale i dla tego Dembiński nie posłał mu żadnego rozkazu. Był to dzień nieszczęśliwy dla Polaków, tak wiele omyłek zrobiono na wszystkich punktach! (Dok. nast.)

STUDYA ESTETYCZNE.

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

Sztuka Wenecka.

(*Ciąg dalszy.*)

Najpierw przypatrzymy się gmachowi Romańskiemu, który i wiekiem najdawniejszy, i w przestrzeni najbliższy do bizantyńskiego. Jest to kurytarz, który się ze świętym Markiem zrósł, i który mu służy za facyatę. Jest to najfantastyczniejsza, a jednak i najpotężniejsza dekoracya teatralnej Wenecyi.

Wyobraźmy sobie wielką, w krągły łuk zagiętą bramę tryumfalną, obok której stanęło po trzy mniejszych bram z każdej strony. Wyobraźmy sobie, że obie ostatnie bramy na prawo i lewo o wiele mniejsze od innych, i że krużganek kamienny po nad niemi się ciągnie, a będziemy mieli dokładne pojęcie o zewnętrznej budowie owej sieni. Na wewnątrz jest zwyczajny sklepiony kurytarz u dwu końców pod prostym kątem w tył zagięty.

Facyata owa odpowiada zupełnie kościołowi fantastycznością układu, przepychem barw i bogactwem materyału. I tu prostotą brata się z mozaikowymi obrazami i drogimi marmurami.

Każda brama tu, to niby wielka wklęsła jaskinia wykuta w wiekuistym murze. U wchodu tej jaskini piętrzą się dziwne kolumny z barwnych marmurów, na których głownicach opoczne stanęły twory. Krągłe sklepienie jaskini okryte pozłotą, a w głębi, tam gdzie się otwiera wejście do kościoła, stoją luźnie najdziwaczniejsze kolumny pozbawione przeznaczenia. Na krużgankach nad bramą ustawione konie z czwórki Lizypowej, zdobycz niegdyś z Carogrodu przywieziona, a w głębi widać szare półkola murów marmurowych, pośród których rozwarło się nad główną bramą olbrzymie krągłe okno.

To uczyniono w trzynastym wieku, gdy Wenecya już nad morzami panować zaczęła. Wiek czternasty nie przestał zdobić owego skarbca rzeczypospolitej. Dziwne lotne, drewniane konie powystawiał po nad kopułami, mnóstwo wieżyczek gotyckich poprzywieszał do facyaty i dokończył tak dziwo owo, co się świętym Markiem zowie.

Kto skarby i barwy lubi, ten pokocha kościół świętego Marka od razu. Kto się lubi dziwić, ten przylgnie do niego. A i widz zrazu niechętny, wreszcie przeprosi się z owem romantycznem dziwadłem. Pokocha owe mroki, po których wyobraźnia chodzi swobodnie, i pozna cudowność owych świateł, co niespodzianie świtają po kopułach; policzy mnogość barw lśniących na mozaice, a i na zewnątrz uczci ową pozłotę i kolumn purpurę co płoną w słońcu. Niedba ci kościół ten o rozum, nie pyta się o sąd zimnej czy uczuciowej krytyki. On Wenecyaninem jest. Do oczu, do zmysłów mówi, wie, że barwą jaskrawą i światłem zaczaruje, i oko — niewolnik, nie oprze się jego zaklęciu.

Tak to styl romański i bizantyński rozswawoliły się na ziemi weneckiej, niepomne nauki ścisłej i idealizmu linii, co nimi w Carogrodzie, w Toskanie i w Niemczech władły. Ukochały tu barwę i światło i swawolę dziwnych wzorów przypominających wschodni kobierzec. Styl romański zaczął tu już i pałace stawiać. Ale jakżeż one różne od ponurych, zamkniętych w sobie gmachów świeckiej Toskany, i od owego mistycznego olbrzyma, od ratusza Florencyi. Całe na zewnątrz odwrócone stanęły wprost nad falą kanałów, i jakby jakie piękności wschodnie przeglądają się sobie w wód źwierciadle. Rej pomiędzy niemi wiedzie *Fondacca dei Turchi* położona u najdalszych kresów wielkiego kanału. Cały to gmach z szarego marmuru. Dół masywny i jednostajny kąpie się w wodzie, a nad niem wznoszą się dwa piątra romańskich krużganków. Jedna wielka bizantyńska kolumnada o bardzo smukłych łukach, prawie w podkowę wygiętych, dźwiga drugą podobną kolumnadę, nad którą płaski dach spoczywa.

Ale tu trwają i istnieją zawsze tylko znane nam już zkąd inąd motywa. Tylko wnętrze kościoła stało się stroną zewnętrzną pałacu. I styl romański i gdzieindziej i w Toskanie nawet lubiał barwę i fantastyczną swawolę. Niedziw tedy, że tak się ustroił w Wenecyi. Ale tu nic się nie oparło raz przyjętemu kierunkowi, i gotycyzm, gdy tu z Toskany czy z północy przybył, musiał swoje poważne oblicze w uśmiech ustroić, i musiał się stać strojnym, bezmyślnym Wenecyaninem Przypatrzmy się temu co tu porabia, a przekonamy się, że filozof, czy asceta wyparłby się gdzieindziej uroczyście tutejszych figlów. Przybył tu snać w gościnę i folguje sobie.

Że jest tu gościem, to pewna; nie masz tu prawie śladów tego jak się rodził, i nie masz tu budowy co by stanęła na rozdrożu między romańszczyzną a gotycyzmem. I że jako gość odmienił naturę, to także więcej jak pewna. Wszędzie indziej modlił się rad, rad stawiał kościoły, a tu zaledwo gdzie niepewną i niezgrabną wybełkotał modlitwę, i wziął się do tego, czego niezwykł czynić, wziął się stawiać same pałace.

Palazzo Dondolo, Palazzo Foscari, Casa d'Oro i wiele innych świeci się po nad kanałem wielkim i innymi kanałami Wenecyi. Synowie to słońca i fali, tylko wzrostem różni, a zresztą podobni do siebie; istne to cuda światła, barwy i fantazyi.

Największym jednak i najwspanialszym

gmachem gotyckim Wenecyi, pałac Dożów, do którego prawe ramię świętego Marka wbudowane.

Pałac ten ma dwie facyat zewnętrznych zupełnie podobnych do siebie; jedna równoległa fasadzie świętego Marka zwrócona ku tak zwanej *Piazzecie*, druga zwrócona do morza, od którego oddziela ją wszelako *Mole dei Schiavoni*, szeroka, od strony morza niezabudowana ulica. W obydwu facyatach nadaje główny charakter budowie ciężkiej, ogromne i masywne piątro drugie nakryte różową i białą mozaiką.

Dół otoczony rzeczą niewidzianą prawie gdzieindziej jak w Wenecyi, bo gotycką kolumnadą. Kolumny są kuce, krępe, ciężkie i niezgrabne, nie żłobkowane, nie wiele więcej jak na sążeń wysokie, i z rzadka ustawione. Ciężą na nich jeszcze najpoczwarniejsze z poczwarnych głownic. Na jednej krzywią się karły, na drugiej srożą się dyabły, na trzeciej wdzięczą się niby, zresztą wcale nienadobne niewiasty. Nad temi bardzo dużemi głownicami wspinają się ostrołuki.

Wnętrze gotyckich kościołów Wenecyi budowane w sposób przypominający ów dół pałacu Dożów. Łuki wyrastają z brzydkich głownic nie pięknych kolumn, a całe wejrzenie ostatecznie wcale nieszczęśliwe.

I na pierwszym piętrze widzimy portyk, ale to portyk już zupełnie pałacowy wenecki. Na smukłych, gęstych, nieżłobkowanych kolumnach wznoszą się weneckie ostrołuki, zupełnie odmienne od tych, które widać na dole, i wszędzie po za Wenecyą. Głównice tu koryncki niby, ale ubrane w liści dębowe. Nad nimi wygina się łuk fantastycznie niby w trójliść koniczyny, której liść środkowy ma postać ostrza lancy. Nad łukiem każdym miga się krągłe okienko, a całość ta ujęta w ramy białych gzymsów.

Pałace Foscari, Casa d'Oro i inne składają się wyłącznie z kilku piątr takich portyków, liczących zwykle po siedm do ośmiu łuczków. Dekoracye to prześliczne, podobne do koronek. Owe kolumny i owe łuczki, nie trzymają się ziemi i tańczą niby w świetle. Robota szczegółów przecudna i nadspodziana powiewność nadana kamieniowi. Pełno tu wdzięku i życia, a biały i różowy marmur kolumn i gzymsów jaśnieje na ciemnem tle cienistego wnętrza wyglądającego z po za sklepień. Otóż lodżdżie takie zdobią i pierwsze piętro pałacu Dożów.

Dziwnie, niespodzianie, jawi się wsparty o ową koronkę z kamienia, główny mur pałacu Dożów, olbrzymie jednostajne drugie piątro uwieńczone płaskim dachem. Piątro owe różowe i białe tonie w świetle nieba weneckiego i wywołuje wielki efekt kolorytu. Siedm ogromnych nie regularnie ustawionych okien otwarto na każdej fasadzie. Największemi są środkowe, a wszystkie podobne do olbrzymich dziur ciemnych, zagiętych u góry w płaski ostrołuk. Tylko środkowe okno na każdej facyacie ubrane w ramy białych, fantastycznych dzierzganin i wieżyczek. W cypelkach i kwiatach owej ornamentyki niepodobna się dopytać siły i myśli.

Z po za olbrzymich otworów okien wygląda cień komnat, wobec którego tem świetniej jaśnieje gamma miękkich barw muru.

Gmach ten wystawiony w czternastym wieku, jest wielką masą różowego i białego światła płonącą pod włoskiem niebem, na tle włoskich błękitów. A światło to tem cieplej, tem słoneczniej płonie, że widać w nim mnogie plamy nocnych prawie cieni. Nie masz tu już barbarzyńskiej pstrokacizny świętego Marka; dwie barw, ale barwy najsłoneczniejsze, i kilka silnych cieni, oto środki, któremi budowniczy oko rządne światła oczarował.

Ale kto chce ujrzeć tryumf kolorytu w budownictwie, ten niech stanie między facyatą Marka a pałacem Dożów, i niech spojrzy na bramę *della Carta*.

Brama owa przypomina budową swoją największe okno pałacu i mieści po za białością gotyckich dzierzganin wielkie ciemne sklepienie. Z po za sklepienia owego występuje jaśniejąca w słońcu i w bieli, druga późniejsza część pałacu Dożów, utwór Rizzia, mistrza, co żył u schyłku piętnastego wieku.

Pałacu dożów występuje tedy część tylko, tak jak gdyby była w ramy ujęta. Jest to marmurowy płomyk wychylający się z po za ciemnej bramy. Koloru innego nad biały nie ma tu już wcale, ale ów kolor biały występuje z po za czarnego cieniu, i ćmi.

Świadom perspektywicznego efektu wywartego przez cień i ramy — postawił Rizzio tuż naprzeciw bramy olbrzymie schody. Każdy schód tu w bieli marmuru podwójnie wystaje; a na schodach dzierzgane drobniutkie arabeski, także widne, jakby na dłoni. Po obydwu stronach schodów stoją olbrzymie posągi, które odstają gwałtownie od tła łamanego w niespodziane cienie, a same schody przerwane przez kilka świetlanych estrad gubią się wreszcie pod zuchwałą gotycką lodżdżyą. Na białych filarach oparte, białe toskańskie ostrołuki o spokojnem zagięciu, występują z ciemności, wśród której lśnią niewyraźnie arabeski z barwnych kamieni, dzierzganiny, półświatła, dalsze schody, i misterne sztuki i pozłoty.

Lodżdżya ta stanęła hardo i lotnie na dolnym portyku o okrągłych łukach. Nad lodżdżyą zwisły dwa piętra niskie fantastycznie ustrojone, to w okna smukłe, a u góry krągłe, to w kapryśne weneckie lodżdżye, o różowych kolumnach, i trójzębnych dziwnych łuczkach.

(C. d. n.)

POGADANKI O WŁOSZECH

OLGI HR. KOMOROWSKIEJ.

IV.

(Dokończenie).

Taka sama poufałość panuje również w stosunkach właściciela do wieśniaka, będącego we Włoszech prawie wszędzie dzierżawcą, w następny sposób:

Właściciele większych lub mniejszych obszarów gruntów zbożowych, winnic, oliwnych wzgórzy, wznoszą własnym kosztem domy piątrowe, o kilku izbach, z chlewami, oborami, szopą i obszernem brukowanem podwórzem. Wieśniak z dobytkiem, bydłem i rodziną, wprowadza się do takiego domu, na termin oznaczony za obopólną zgodą, z obowiązkiem uprawiania ogrodu, winnic, pola, tyle morgów, ile należy do obszaru zakreślonego przez właściciela jako należących do chaty. Zbiorem ogólnym dzielą się na połowę, podatek dochodowy, ubezpieczenie od ognia, płaci właściciel; podatek zarobkowy i od ruchomości, opłaca wieśniak. Liczba takich włościan rozrzuconych, stanowi nieruchomy majątek właścicieli ziemskich. Kapitał w ten sposób umieszczony, stosownie do prowincyi, daje pewny dosyć, ale niski bardzo dochód. W Piemoncie, Lombardyi, Weneckiem, 2 do $2^1/_2$ od sta; Toskania, Emilia, Ligurya, $1^1/_2$ do 2. Neapolitańskie $1^1/_2$ do 2 również, Sycylia zaledwie 1 i to z biedą, dzięki niedbalstwu rolników. Mało jest bardzo majętności większych, rządzonych i dozorowanych bezpośrednio przez samych właścicieli; jedną z takich jest Migliarino koło Pizy, należąca do księcia Borghese-Salviati; i w Maremach toskańskich również w okolicy Grosseto, majętność hrabi Lardavel; lecz i te nie świetniejsze dają dochody.

Narzędzia rolnicze jakie je używają tutejsi włościanie, nawet zapadłego poleskiego chłopa by już zadziwiły. O młocarniach, młynkach, sieczkarniach, nie mają prawie wyobrażenia; na małych przestrzeniach żniwiarki są niemożliwe. Młóci się więc najczęściej końskiemi lub wołowemi nogami, na podwórzu przed chatą, jak za czasów Abrahama; co najwięcej cepami; w Piemoncie i Lombardyi maleńkiemi ręcznemi młocarniami. Młynki zastępują zawsze jeszcze niecki, przetaki i wietrzyk z niebios wiejący. Pługi, radła, brony, także bardzo pierwotnych kształtów, sklejone nieforemnie; w wielu częściach Włoch motyką całkowicie zastępować je musi, gdyż pola pocięte w wąskie grządki, wśród morw, winnej latorośli i drzew owocowych nie dozwalają bez uszkodzenia tychże pługiem i zaprzęgiem nawracać.

Irygowanie pól, gnojenie, przeorywanie zielonych płodów, jak gryki w kwiecie, bobiku, soczewicy, są tu ogólnie używane; ziemia bowiem nieustannie wygrzewana, mało odpoczynku używająca, pozbawiona naturalnej wilgoci, potrzebuje ochłody. Drugi sposób steskoryzacyi, jest polewanie rozczynem guana, lub też z kloak miejscowych i miejskich zakupywanemi i nocą wywożonemi skarbami. W późnej jesieni, po drugim zbiorze kukurudzy, i wczesną wiosną po ukończonych zasiewach jarzyn, podlewanie takowe uskutecznia się po kilka razy, co dziwnie niemiłą woń nadaje okolicy. W kilku miejscach w Lombardyi i w Marenach, widzieliśmy uprawianie jałowych gruntów przez parkowanie, szczególniej owiec; ale jest niedostatecznem i przeorywaniem lupinów musi być poprawionem.

Drogi prywatne między takimi domami wieśniaków są tak wąskie ścieżki, aby wóz tylko mógł się przesunąć; lecz te do użytku publicznego przeznaczone są wyśmienicie wszędzie utrzymywane, starannie, oględnie, ze znajomością rzeczy przeprowadzone. Opatrzone wybornemi murowanemi mostkami, rowami, proste, wysadzane drzewami, gładkie, naprawiane gruntownie i na czasie, stanowiły one przez długie lata jedyne lądowe kamunikacye handlowe; dziś pomimo kolei żelaznych i zmniejszonego na nich ruchu, są jednak ciągle dozorowane i zupełnie opuszczenia nie doznały. Coby to za szczęście było dla naszego mazowieckiego fornala, czterema dziarskimi końmi upędzać po tych gładkich, prostych, szerokich murowanych drogach! Dziecię kilkoletnie może tu śmiało wziąć lejce do ręki i ruszać w świat, bo oprócz tych przewybornych gościńców, konie, muły i osły tutejsze, są niesłychanie flegmatyczne, zbiedzone i nie okazujące nigdy chętki wydostania się na wolność.

Od najwcześniejszej młodości zaprzęgane do ciężkich, dwukolnych wozów, źle żywione, bite bez ustanku, nie czyszczone prawie nigdy, ochwacone, kaszlące, z najeżonym włosem, wklę-

słymi bokami, zagasłem okiem, wloką się, spuściwszy głowę. Nikt się tu nie lituje nad tym stanem nędznych zwierząt. Los koni najczęściej z obcych krajów sprowadzonych, do lepszej doli nawykłych, jest przykrzejszym niż mułów i osłów zrodzonych w tem niewolnictwie. W okolicach Sieny i Rzymu hodują małe kare koniki, lecz te do biegu bardziej są używane, rącze dosyć i kłusujące wytrwale, choć na oko niby nużąco z powodu, iż nogi wyrzucają pod siebie. Z Korsyki sprowadzają kuce, złośliwe, dzikie zwierzęta, uparte jak osły i jak one w jedzeniu nie przebierające. Te ostatnie i muły, przyjmują z przykładną cierpliwością kułaki, razy, głód, chłód i cały różaniec bied zwierzęcego żywota; zdają się pocieszać filozoficznie, lub głęboko ascetycznie rozmyślać o odpoczynku i rozkoszach drugiego świata, tak tęsknie, łagodnie, niby ze łzą w oku patrzą na swoich prześladowców.

Nieraz jesienną porą kiedy słońce miało się ku zachodowi, zamieszkując małe miasteczko na równinach toskańskiego wybrzeża położone, wychodziliśmy błądzić wśród pól zieleniejących się rzepą rozsiadłą przy ziemi, i oziminą bujnie kiełkującą. Szczyty Alp Apuańskich złociły się ostatniemi blaskami zachodu, a po ich bokach skalistych, wśród marmurowych wyłomów, błękitno fioletowe mgły leciuchno ślizgały się aż do stóp i przejrzystą zasłoną okrywały błonia. W powietrzu wonie liści zwiędłych i roślin umierających, mięszały się ze słonemi wyziewami pobliskiego morza, którego szmer przytłumiony dolatywał przez bór sosnowy, zlewał się z szelestem jego gałęzi, i obijał aż o dalekie skały, biegnąc swawolnie to po wierzchołkach pól obnażonych drzew, to unosząc się wiatrem nad owemi smętnemi polami.

Długą białą wstęgą, rozwijała się droga; a po niej dzwoniąc poważnie, szły ciemnemi rzędami objuczone muły, osły i konięta; toczyły się z hałasem ciężkie wozy, pełne worów zboża, lub drzewem ładowne. Zawsze człowiek dodawał ciężaru biednemu stworzeniu, leżąc jak długi na wierzchu woza, to kiedy szedł obok niego dla zabawki zacinał biczem swój zaprząg. Człowiek świstał lub śpiewał rubasznie, a zwierzę zdawało się rozmawiać milczeniem z głosami natury, niezrozumiałemi dla tego ogorzałego, barczystego parobka. A jednak on się sądził być o wiele wyższym od swojego muła! Czem? zapytać by nieraz można. Chyba okrucieństwem tylko, jeżeli ono może nadać wyższości. A nad ich głowami śmiała się natura przyjaźnie dla obu. Ptaki śpiewały, układając się do snu na gałęziach czerwonych jarzębin i topól srebrzystych; koniki polne ostatniemi, słabnącemi siłami próbowały jeszcze łączyć głosy do ogólnej harmonii; psy wiejskie zbiedzone naszczekiwały z rozrzuconych po polach chat; a nam w duszę z dźwiękami całej przyrody, lały się tęskne myśli; jak zawsze i wszędzie człowiek ciemiężyć lubi, choć Bóg daje mu przykłady wolności, gdzie tylko okiem rzuci. Ale on ślepy i w imię samejże nawet wolności, popełnia jeszcze uczynki świadczące, że głosu przyrody nie zrozumiał dotąd. Nastwarzał sobie mnóstwo teoryi, praw, prawideł, zasad; a największe, najprostsze zarazem prawo ogólnej, wszechmocnej wolności, pozostanie na długie wieki jeszcze dlań... utopią tylko. Wszystkie nasze meetingi, zbiory, sejmy, są owem zacinaniem biczem idącego koło konia parobka, co sądzi, że koń musi być kontent, bo jemu wesoło na sercu. Spytajcie konia, jakie będzie jego zdanie. Spojrzyjcie w koło siebie uważnie, w taki cichy wieczór jesienny, kiedy wszystko spoczynkiem oddycha. Dla czego w przyrodzie ten spokój? Bo wolność panuje w eterze. A dla czego my ludzie miotamy się, burzymy, wywracamy, szukamy i znaleźć nie możemy czego chcemy? Bo w nas siedzi zaród tyrańswa, przemocy, co nam psuje równowagę w innych płodach natury zamieszkałą i bujającą na wolności.

ZWYCZAJNE DZIEJE.

Płaczącej brzozy
Okryty cieniem,
Zabłysł kwiat biały
Po nad strumieniem;
A promień słońca
W fali się pluskał,
Białe mu lico
Ukradkiem muskał;
Przez rozplecione
Brzozy gałązki,
Ślizgał się w listkach
Drżący i wązki.

W kielichach kwiatka
Dziwna tęsknota
Za tym promykiem
Bladego złota;
Jeśli go chwilką
Cienie zasłonią,
Kwiatek go szuka
Nieśmiałą wonią;
Obraca za nim
Oczu gwiazdeczki;
Chyli, rozwija
Drobne listeczki;
W pieszczocie z ciepłem
Woni goręcej,
I wciąż go pragnie
Więcej i więcej.

Promień mu wieści
O niebie śpiewał,
Coraz pieszczotniej
Światłem oblewał;
I już nie schodził
Z jego ukrycia.
Kwiatek się cieszył —
Ach, nie znał życia!

Cały poranek,
Świeży tak cudnie,
Tęsknił czy przyjdzie
Skwarne południe?
Drżał tchem pragnienia;
Patrzał do góry,
Czy rychło w ogniu
Ujrzy lazury?
Złorzeczył w duszy
Chłodom zielonym,
Brzozy gałązkom
W gąszcz zaplecionym.
Aż wiatr powionął
Niszczący, spiekły...
Na dno strumienia
Cienie uciekły;
Słońce na niebie
Tkwiło wysoko;
Kwiat z swem marzeniem
Stał oko w oko.

Gorących spojrzeń
Oblany żarem,
Opuścił główkę
Pod tym ciężarem...
W ziemię siał złudzeń
Koronę białą:
Brzoza płakała,
Słońce się śmiało.
Nim nadszedł z chłodem
Wieczór obrońca,
Kwiatek strawiony
Usechł od słońca.

Zapomniał pragnąc
Nazbyt gorąco,
Że czucie miewa
Siłę palącą;
Za kilka szczęścia
Znikomych chwilek,
Został mu z życia
Suchy badylek!

Iza.

ŁUCYA WILSON.

(z angielskiego).

(*Dokończenie*).

Sam na siebie oburzyłem się; a jednak, w głębi serca czułem dzikie jakieś zadowolenie, że ten, przez miłość dla którego płynęły łzy owe, obojętnym już jest na sympatyą i wszelkie uczucia ziemskie.

Nagle uspokoiła się i rzekła do mnie:

— Skoro więc nie pozwalasz mi pan zobaczyć się z nim, wracam do domu, a dziś wieczorem przywiozę doktora. Jeżeli doktor pozwoli, pozostanę tu, aby czuwać nad Wiliamem.

— Dobrze — mówiłem zwolna — sprowadź pani doktora...

— Niezawodnie sprowadzę — żywo odparła — a teraz, prędzej, pomóż mi pan wsiąść do łódki. Proszę czuwać nad nim troskliwie, dopóki nie powrócę.

Podałem jej rękę, nie myśląc prawie o tem. Chłopiec, który nie wysiadał wcale, poruszył wiosłami i łódź szybko podążyła ku brzegowi. Daleko już być powinienem gdy powróci tu znowu i gdy już nie zdołam zataić popełnionej zbrodni.

Postanowiłem uciekać bez zwłoki. Podczas spokojnego morza z łatwością dostanę się do lądu, a raz już tam będąc, przez pola i łąki bez trudu uniknę pogoni.

Tu, tymczasem, woda mogła trupa na brzeg wyrzucić, a ślady zaduszenia na szyi niewątpliwie ściągną na mnie podejrzenia. Z drżącem niepokojem wyobrażałem sobie co chwila, że od lądu odbija łódka aby mnie aresztować.

W tak gorączkowem usposobieniu czyniłem niezbędne przygotowania do ucieczki. Kiedym już prawie był gotów, spostrzegłem, że wiatr zmienił kierunek: morze zaczęło się burzyć, a na horyzoncie gromadziły się w zbitych masach czarne chmury. Jeśli burza miała wybuchnąć, co zdało się prawdopodobnem, ucieczka stawała się niemożliwą, ale za to, z drugiej strony, wszelka komunikacya pomiędzy latarnią a stałym lądem byłaby przerwaną i ja miałbym spokój przynajmniej tak długo, dopókiby trwała nawalnica.

Niebo przybrało szarą powłokę; gwałtowny wicher rozbijał olbrzymie bałwany, których spienione wierzchołki tem bielszą smugą odznaczały się na czarnem tle horyzontu.

Wszystko zapowiadało noc straszliwą. Wszedłem do mieszkania, bo już fale cały prawie zalewały pomost.

Słabe, czerwonawe światełko na zachodzie, wskazywało miejsce, w którem przed chwilą skryło się słońce. Była to właściwie chwila, w której należało zapalić lampy, ale ażeby dostać się do nich, trzeba było przebyć w pół cieniu cały budynek... i... po raz pierwszy w życiu, strach mnie ogarnął... Blada, nabrzmiała twarz Wiliama, wielkie jego oczy, pełne grozy i rozpaczy, ścigały mnie na każdym kroku.

Wobec zwiększających się przecież ciemności, zmuszony byłem pokonać trwogę, wiedziałem bowiem, że jeśli światło latarni nie ukaże się natychmiast, to bez względu na największe nawet niebezpieczeństwo, nadeślą pomoc ze stałego lądu.

Szedłem więc w górę i, rzecz dziwna, mimowolnie zatrzymałem się na drabinie przed drzwiami pokoju umieszczonego pod latarnią i nadsłuchiwałem czy nie doleci mnie zewnątrz jaki szmer znany. W tym to pokoju Wiliam przebył ostatnie trzy godziny swego życia, gdy z uścisków Łucyi Wilson wpadł w objęcia śmierci.

Szybko przebiegłem przez ten pokój i jak szalony wpadłem do latarni. Niezadługo zapłonęły lampy a jasne ich promienie rozlewały dobroczynne swe światło wśród czarnych wzburzonych przepaści.

Burza szalała już na dobre, ocean ryczał a rozhukane bałwany sięgały aż do pierwszego piętra, wstrząsając całym budynkiem latarni od fundamentów aż do szczytu.

Zeszedłem i rzuciłem się w ubraniu na tapczan w jednym z górnych pokoików. Napróżno jednak usiłowałem zasnąć; nowe czekały mnie męczarnie.

Wśród ogłuszającego łoskotu burzy, świstu wichrów i ryku bałwanow, zdawało mi się, iż dochodzi mnie tak dobrze mi znany odgłos kroków Wiliama po nad moją głową, że słyszę łagodny i dźwięczny głos jego i inne różnorodne objawy, po których przywykłem był rozpoznawać obecność jego w którejkolwiek części naszego mieszkania.

W przemijających tych chwilach myślałem, że zwaryuję z przestrachu.

Skoro rozległo się trzykrotne uderzenie dzwonu, zerwałem się na równe nogi i wpół senny jeszcze szedłem na górę, aby zluzować Wiliama Gisborne, jak niegdyś bywało — przed zbrodnią.

Zwykle raz lub dwa razy przez noc należało poprawić i przyrzadzić lampy. Dziś zbyt się już opóźniłem; jeden rzut oka przez okno ostrzegł mnie, że światło latarni znacznie osłabło i zaledwie z trudnością przedziera się wśród głębokich ciemności.

Przyspieszyłem kroku z gorącem życzeniem aby jaki nieszczęśliwy statek nie uległ katastrofie wskutek mojego niedbalstwa. Latarnia gaśnie już prawie... wstępuję do pokoiku na najwyższem piętrze... gdy nagle płomień ożywia się, świeci jasno i czysto: metalowe reflektory stokrotnie powiększają siłę światła, a latarnia błyszczy znowu potężnym ogniem, jakby urągać chciała jedynej nieprzyjaciółce swojej — burzy!...

IV.

Zimny pot wystąpił mi na czoło.

Rzuciłem się napowrót na drabinę; w oczach mi ściemniło, a dreszcz przerażenia zatrząsł mną całym od stóp do głowy.

Nie byłem więc sam w wieży... któż to mógł być tam na górze, tak dobrze obeznany z obowiązkami, spełnianemi dotąd przezemnie tylko i przez nieszczęśliwą ofiarę mojej zbrodni?

Nie byłże to tylko sen straszny? zazdrość moja, szalona nienawiść, mordercza walka z Wiliamem, sama zbrodnia wreszcie, czy to nie złudzenie sennego widziadła, które zniknie wraz z przebudzeniem się mojem?

Czy spotkam się znowu, oko w oko, czysty na sumieniu, z dawnym moim towarzyszem?

Czy to wreszcie Wiliam Gisborne zapalił lampy, tak jak niegdyś, w czasach błogiego spokoju?

Niestety, nie był to sen! Zanadto dobrze przypominam sobie żelazny uścisk mojej ręki bledszą od płótna twarz Wiliama i oczy jego przysłonione powłoką śmierci.

To rzeczywistość, nie złudzenie! jestem jego zabójcą, a fale morskie stały się grobem jego.

Ależ czyja ręka rozpaliła lampy?

Z niezmiernym trudem, chwiejąc się jak pijany, zeszedłem na sam dół wieży i przebyłem tam resztę nocy w niepodobnem do opisania udręczeniu. Za najmniejszym szelestem byłem zdecydowany rzucić się do morza raczej, aniżeli narazić się na ujrzenie tajemniczego widoku, sama myśl o którym przejmowała mnie straszliwą trwogą.

Nazajutrz, gdy słońce było już wysoko, odważyłem się wejść na górę i zgasić lampy. Burza szalała jeszcze, byłem więc spokojny, że dopóki ona trwać będzie, nikt nie puści się na morze.

Reszta mogła mnie ocalić nawet.

Jeśli wiatr, wiejący ciągle od strony lądu, uniósł trupa, co jest rzeczą możliwa, na pełne morze, będę mógł powiedzieć, że Wiliam umarł na tyfus a ja lękając się zarazy, wrzuciłem trupa do morza.

Nie wiem, jak ten dzień przebyłem. Kiedy noc nadeszła, drżałem na samą myśl, iż trzeba iść zapalić lampy i spotkać się tam może z wczorajszym straszliwym gościem. Słońce jednak już zaszło i bądź co bądź, trzeba było spełnić ciężki ten obowiązek.

Uzbroiłem się w resztki odwagi i z obosiecznym nożem w ręku, wszedłem na drabinę.

Na górze czekała mnie straszna niespodzianka: *lampy były już zapalone!* Dochodząc do szaleństwa prawie z przestrachu, powróciłem na dół i umarły raczej niż żywy, zabarykadowałem się w parterowym pokoiku, podczas gdy świetne promiene zaczarowanej latarni kąpały się w czarnej wód głębinie.

Noc długa jak wieki całe wlokła się dla mnie w niewypowiedzianych męczarniach. Na okół biły pioruny, a olbrzymie bałwany tłukąc o naszą wieżycę, chciały jakoby zwalić i rozbić ohydnej zbrodni siedlisko.

Światło latarni nie osłabło ani na chwilę.

Odchodziłem od zmysłów — pierwsze dopiero promienie jutrzenki rozprószyły dręczące mnie przez noc całą straszliwe widziadła. Odetchnąłem.

Burza przeszła, wiatr zmienił kierunek; wiedziałem, że teraz niebawem oczekiwać mi trzeba przybycia nieproszonych gości.

Wziąłem lunetę i stanąłem w oknie; w tejże chwili właśnie jedna z łódek odbijała od brzegu. Siedziało w niej dwóch mężczyzn i kobieta — musiała to być zapewne Łucya Wilson.

Łódź zwolna się posuwała; miała bowiem przeciw sobie podnoszący się przypływ morza. Z bijącem sercem spoglądałem na zbliżający się statek i w połowie drogi, silny prąd wody porwał go w stronę, gdzie sterczące po nad morzem skały, tworzyły pewien rodzaj przylądka.

Nagle spostrzegłem, że mężczyźni przestali wiosłować i wychyliwszy się po za czółno, zaczęli coś wyciągać z wody. Po dość długiej wreszcie chwili wyczekiwania zobaczyłem, iż wydobyli z wody jakiś ciężki przedmiot i złożyli go na pokładzie.

Jednocześnie, na skrzydłach wyobraźni, doleciał mnie okrzyk przerażenia. Luneta wypadła mi z ręki... w oczach się ściemniło...

Ów p r z e d m i o t wydobyty przez nich z wody, to był trup Wiliama Gisborne. Stało się! trzeba uciekać natychmiast. Za kilka chwil staną oni na pomoście z niezbitymi dowodami mej zbrodni, gdyż lekarz musiał bezwątpienia rozpoznać ślady uduszeń na szyi Wiliama.

Niepodobna było wahać się dłużej; jeden tylko pozostawał mi środek ocalenia: przebyć wpław zatokę. W tym celu należało zaczekać dopóki łódka nie zbliży się pod samą latarnią, a potem rzucić się do morza z przeciwnej strony; inaczej mogliby mnie jeszcze w wodzie dostrzedz. Pospiesznie zabrałem swoje pieniądze i kilka kosztowniejszych drobiazgów, a między niemi i zegarek Wiliama; zawiązałem wszystko w chustkę i przymocowałem sobie u pasa. Chwila stanowcza nadeszła; słyszałem już odgłos ich wioseł.

V.

Wprost z okna rzuciłem się w fale morskie.

Przeprawa trudną była nawet dla tak wprawnego jak ja pływaka. Morze nie uspokoiło się jeszcze zupełnie po wczorajszej burzy, na szczęście fale unosiły mnie ku lądowi. Wycieńczony i osłabiony dwudniowemi męczarniami, wypłynąłem bez sił prawie o dwie mile poniżej Huncliffu.

Tam, wdrapałem się do wyżłobionej w skale jaskini, znanej mi jeszcze z lat dziecięcych, rozebrałem się, wysuszyłem ubranie i ruszyłem w drogę. Pomimo niezmiernego znużenia, nie śmiałem spocząć ani na chwilę; znając bowiem starego Wilsona, pewny byłem, że nietylko żandarmeryą, ale niebo i ziemię poruszy, aby wydać w ręce sprawiedliwości zabójcę narzeczonego swej córki. — W tej chwili już może byłem śledzony.

Podtrzymywany na siłach jedynie instynktem zachowawczym, puściłem się boczną ścieżką, unikając mieszkań ludzkich i pod wieczór dopiero, dostawszy się do lasu w znacznej odległości od Huncliff, padłem znużony na kupę zeschłych liści, które najwygodniejszem wydały mi się łożkiem. Nazajutrz, przy dniu zimnym i pochmurnym, czując się nieco bezpieczniejszym, kupiłem w jakiejś wiosce kawałek chleba i sera, wypiłem kieliszek wódki, i raźniej już szedłem ku Londynowi.

Zamiarem moim było zaprządz się w olbrzymiem tem mieście do pracy jak najcięższej, abym wśród trudów materyalnych, uwolnić się mógł od strasznych myśli niedających mi chwili spokoju i odpoczynku.

W istocie, znalazłem zajęcie w hucie żelaznej i pracowałem w niej ciężko przez całe dwa lata, nie wchodząc w żadne bliższe stosunki z moimi towarzyszami, żyjąc zupełnie samotny, dręczony wyrzutami sumienia i ciągle napastującem mnie wspomnieniem Wiliama Gisborne.

Utrzymują, że jakiś pociąg niepokonany popycha zbrodniarzy ku miejscu popełnionej przez nich zbrodni.

I ja uwierzyć musiałem w dziwne to fizyologiczne zjawisko. Wkrótce niepodobna mi było opierać się dłużej chęci ujrzenia raz jeszcze dawnej mojej siedziby. Wiedziałem, że nie poznają mnie w Hunclif. Ja sam zaledwie poznać się mogłem, patrząc na siwe moje włosy, twarz zapadłą i pooraną zmarszczkami, błędne i niespokojne oczy.

Wybrałem się więc w podróż i przybyłem do Huncliff w piękny letni wieczór, w dwa lata

po opuszczeniu tych miejsc, z których wygnała mnie zbrodnia.

Zdaleka już ujrzałem światło latarni błyszczące wśród cichego wód przestworza.

Na ten widok, odżyły wszystkie me wspomnienia, padłem na kolana i zakrywszy twarz rękami gorżko zapłakałem.

Łzy przyniosły mi cokolwiek ulgi. Wszedłem w główną ulicę miasteczka, w której znajdowała się oberża starego Wilsona. Otóż i ona, wybielona jak dawniej, z temi samemi czerwonemi firankami w oknach, przez które przebija się światło i dochodzą przytłumione głosy, jakby zapraszając samotnego przechodnia, aby wstąpił i zajął miejsce wśród zapijających gości. Przez chwilę brakło mi odwagi na przebycie zaklętego dla mnie progu — ale nadprzyrodzona jakaś siła zdawała się popychać mnie wbrew mojej woli.

Drżący i niespokojny wszedłem do izby gościnnej.

Stary Jakób Benson, gość codzienny, siedział za stołem, rozmawiając z dwoma majtkami. Poznałem go odrazu, ale on mnie nie poznał. Stałem się już obcą istotą dla człowieka, który niegdyś piastował mnie na swych kolanach. Rozmowa, przerwana na chwilę mojem wejściem, ciągnęła się dalej.

— Ktoby to uwierzył — rzekł jeden z majtków — aby człowiek mógł się tam ukrywać?

— A czegóż to mój panie, człowiek nie zrobi dla ocalenia życia! — odparł Benson. — Kiedy biedny Wiliam odzyskał zmysły, odpływ morza byłby go uniósł jak garstkę słomy. Nie śmiał wracać do latarni, aby nie spotkać się z tym dzikim zwierzem co go prawie zadusił i nieochybnie radby dokończył swoje dzieło; łódki żadnej nie było, a zresztą gwałtowna burza przerwała wszelką komunikacyą z lądem.

— I to zazdrość była pobudką do zamierzonego morderstwa? — zapytał drugi marynarz.

— Tak, panie, zazdrość, a raczej zawód miłośny — odpowiedział stary Jakób. — Obaj kochali Łucyą Wilson. Łucya wybrała Wiliama, a tamten drugi nie wahał się uciec do zbrodni, aby przeszkodzić ich małżeństwu.

— Cóż dalej było?

— Wiliam przez dzień ukrywał się pomiędzy skałami; w nocy wszedł na wierzch latarni i rozpalił gasnące już prawie lampy. Pozostał tam dopóki burza nie minęła, a ujrzawszy pierwszą nadpływającą łódkę, rzucił się w morze; wydobyto go z wody, ale biedny chłopak rozchorował się na dobre i tylko cudem prawdziwym wyleczył się, przy łasce boskiej i troskliwej pieczołowitości Łucyi, która go ani na chwilę nie odstępowała. Skoro dopłynęli do latarni, ptaszka już nie było. Stary Wilson urządził za nim obławę w okolicy, wszystko za późno; domyślano się, że zbrodniarz musiał się utopić z rozpaczy. A gdy Wiliam wyzdrowiał i odbyło się wesele jego z Łucyą, zapomnieli już wszyscy o niegodziwcu.

— Śliczną żonkę dostał pan Gisborne — zauważył jeden ze słuchaczy.

— Ba! — zawołał Benson. — Powiadam panom, to najpiękniejsza para na dziesięć mil w około. Wszyscy ich kochają. Kiedy stary Wilson umarł, żałowano go powszechnie, ale i tak doczekał się wnuka, prawdziwego aniołka! Spojrzyjcie tylko, panowie, co to za ślicznota!

Mimowolnie zwróciłem oczy ku otwierającym się właśnie drzwiom od sąsiedniej izby. Grube krople potu wystąpiły mi na czoło. W drzwiach tych ujrzałem wchodzącą Łucyą Wilson, obecnie panią Gisborne, uśmiechniętą, piękniejszą niż kiedykolwiek, z dziecięciem na ręku, podobnem jak dwie krople wody do dawnego mego rywala.

Na ten widok doznałem uczucia jakby dwadzieścia nożów utkwiło w mem sercu, ale jednocześnie doznałem niewypowiedzianej ulgi, radości głębokiej, i w uniesieniu bez granic dziękowałem Opatrzności, że ohydnemu zamachowi memu nie dopuściła zakończyć się zbrodnią.

Srogie i straszne wyrzuty sumienia, ustąpiły miejsca zbawiennej pokucie.

Piękna pani Gisborna zasiadła przed kominem, trzymając dziecię na kolanach.

W tej chwili ktoś wszedł... chwyciłem się rękami za stół, gdyż cała izba razem z meblami i wszystkiem co w niej było, zakołowała mi w oczach.

Dawny towarzysz mój z latarni morskiej, mój rywal, moja ofiara, jednem słowem Wiliam Gisborne, ukazał się przedemną... Zbliżył się do żony i przez jej ramię, zaczął się bawić z dzieckiem.

Prześliczny to był obraz, pełen nieopisanego wdzięku; dla mnie był on najboleśniejszą z tortur.

Jacy oni szczęśliwi!

A ja, nędzny, z głową pochyloną pod sprawiedliwym wyrokiem niebios, skazany na pokutę przez resztę życia, sam jeden, w towarzystwie tylko bolesnych wspomnień, odszedłem napowrót do Londynu...

POSTĘPY ŻEGLUGI POWIETRZNEJ.

Po długiej przerwie w pracy nad udoskonaleniem sposobów komunikacyi powietrznej, wzięto się od lat kilku energicznie do roboty na tem polu, szczególniej po wojnie francusko-pruskiej, w której balony kilkakrotnie znakomite usługi oddały.

Lecz teraz w pracach tego rodzaju, nie kierują się jak dawniej najrozmaitszemi pomysłami najdziwaczniejszego rodzaju, nie mając na względzie żadnej metody naukowej, lecz owszem, sprawę tę wzięły w rękę ciała naukowe, sztaby wojskowe, które idąc z ścisłemi zasadami mechaniki w ręku szukają sposobów z walczenia oporu stawionego przez kapryśne prądy powietrzne, miotające dotąd balonami, jak piórkiem i rzucające je tam, gdzie się im podobało.

Najważniejszą rzeczą jest ten fakt właśnie, że zbadano dokładnie warunki mechaniczne utrzymywania się i bujania po powietrzu, i że nabyto przekonania, iż mając do rozporządzenia obecnie znane źródła siły poruszającej, nie podobna zbudować machiny większych rozmiarów, którąby bez pomocy balonu, jedynie ruchem własnych skrzydeł mogłaby się poruszać i utrzymywać w powietrzu. Materyał potrzebny do zbudowania machiny i zbiornika siły jest tak ciężki, że praca, którą ta machina wykonywać potrafi, nie jest dość wielką, żeby siebie samą utrzymać mogła w powietrzu.

To też przeważnie pracują obecnie nad znalezieniem ulepszonej konstrukcyi balonów a głównie środków potrzebnych ku ich kierowaniu.

W celu kierowania balonem używają przeważnie śruby z lekkiego materyału, podobnej do śruby, która służy do poruszania okrętów, a która jak wiadomo, zastosowaną była na morzu po raz pierwszy przez Ericsona.

W aeronautyce pomysł ten sięga jeszcze dawniejszego czasu. Mianowicie generał Meusnier, który umarł w r. 1793, zostawił w swych pamiętnikach opis balonu o podłużnym kształcie, który miał być poruszany za pomocą takiej śruby i kierowany odpowiednim sterem.

Już ten uczony zwracał uwagę tych, którzy nad wyrobieniem sposobów kierowania balonami myśleli, na prace meteorologiczne; radził poszukiwać praw rządzących prądami powietrznymi i w podróżach powietrznych wyszukiwać takich prądów, któreby miały kierunek żądanej podróży, albo też jak najwięcej do niego się zbliżały.

W r. 1847 p. Marey-Monge, wydał rozprawę, w której podaje projekt urządzenia przy balonie śruby powietrznej, poruszanej za pomocą machiny parowej, umieszczonej w łódce balonowej. W latach 1851 i 1855, słynny aeronauta Henryk Giffard, zrobił próby tego rodzaju, jednak nie otrzymał stanowczych rezultatów, gdyż warunki, w których robił te doświadczenia, nie były dlań korzystnemi i odpowiedniemi. W tych czasach machiny parowe były jeszcze tak ciężkie, że trzeba było budować kolosalne balony dla zrównoważenia już tylko samego ciężaru machiny.

W dalszym ciągu prac nad sposobami kierowania balonów, najwięcej zasług położył p. Dupuy de Lôme, który też rzeczywiście najwięcej się zbliżył do zamierzonego celu. Jemu zawdzięcza aeronautyka kilka wynalazków, które imię jego będą zawsze przypominały.

Jemu to np. zawdzięcza się sposób utrzymywania powłoki balonu w stanie stałego naprężenia, tak że kiedy nawet wypuszcza się gaz na zewnątrz gdy chodzi o spuszczenie się na dół, to jednak balon na zewnątrz pozostaje w pierwotnej wypiętej formie. Urządził on to w ten sposób, że zewnątrz dużego balonu mieści się mniejszy, który napełnia się powietrzem i pęcznieje w miarę, jak gaz ulata. On też wynalazł najlepszy sposób przymocowania czółna do balonu, mającego kształt wydłużony, za pomocą dwóch siatek, otaczających ten balon.

Do poruszania śruby powietrznej, pan Dupuy de Lôme, używa zamiast pary, siły ręcznej kilku ludzi, umieszczonych na łódce balonowej. Próby, które robił w r. 1872 z balonem własnego pomysłu, doprowadziły go do bardzo ważnych i ciekawych rezultatów, chociaż publiczność nie świadoma dobrze rzeczy, przyjęła je jako zupełnie nieudałe. Przy tej próbie ośmiu ludzi kręciło śrubą powietrzną, jednak wiatr był tak silny, że przeciw niemu nie można było podążać, i balon musiał się cofać, jednak, jak to dokładnie obliczono, z znacznie mniejszą szybkością, niż gdyby na los wiatru był swobodnie puszczony. Według obrachunku, gdy wiatr popychał balon na czternaście do piętnastu metrów w tył na sekundę, to przez ten czas ruchem śruby posuwał się około półtrzecia metra naprzód. Śmiało też mógł twierdzić p. Dupuy de Lome, że gdyby zamiast ośmiu ludzi, miał w łódce balonu machinę parową o sile ośmiu koni, to zdołałby w tym wypadku, jeżeli nie przezwyciężyć siłę wiatru, to przynajmniej poruszać się pod znacznym kątem od głównego kierunku wiatru.

W roku 1873 p. Haenlein w Bernie morawskiem, zbudował podobnego rodzaju balon, mający kształt wydłużony, jednak tkanina, której użył, była bardzo ciężka, zamiast nadzwyczaj lekkiego wodoru, napełnił balon gazem do oświetlania, a jako motoru użył ciężkiej machiny gazowej, tak że nie można było puścić się z tym balonem na swobodę i trzymano go przy próbach na uwięzi, na długich linach, zadowalając się tym, że w takim stanie balon mógł odbywać rozmaite ewolucye, wyłamując się z pod wpływu wiatrów.

Po wojnie francusko-pruskiej, ministerstwo wojny francuskie wyznaczyło komisyą, której postawiło za

specyalne zadanie, zbadanie obecnego stanu komunikacyi powietrznej i obmyślenie środków ulepszenia tego tak ważnego środka w czasie wojennym.

Po kilkoletniej pracy, komisya ta zdała sprawę ze swojej czynności — jednak nic takiego nie zdziałała, coby mogło stanowić epokę, chociaż miała tę zasługę, że wprowadziła kilka ulepszeń opartych na licznych i kosztownych próbach, które mogła wykonywać, mając dobre uposażenie od rządu.

Co się tyczy balonów kierowanych za pomocą śruby powietrznej, to zaprowadzono następujące ulepszenie. Zamiast przyczepiać tę śrubę, mającą kształt wiatraku do łódki, umocowano ją w środku balonu, w bliskości punktu przyłożenia wypadkowej wszystkich sił oporu powietrza. Zresztą ulepszono tylko siatkę otaczającą balon, zmniejszając znacznie jej ciężar.

W zwykłych balonach nie zaopatrzonych w przyrządy do kierowania, w tak zwanych *ballons-poste*, ulepszono przedewszystkiem klapę do wypuszczania gazu, która z powodu niedokładnej konstrukcyi była już kilkakrotnie przyczyną nieszczęśliwych wypadków. Albo się nie odmykała kiedy było potrzeba, albo też w danym razie, kiedy chodziło o spuszczenie się na dół, skoro ją raz otworzono, nie zamykała się wcale i balon z przerażającą szybkością upadał na ziemię.

Zamiast zwykłego balastu, składającego się z ciał stałych, jak zwykle piasku, zaprowadzono balast płynny, i przytem dodano przy kurku wypuszczającym balast, aparat, który automatycznie reguluje ilość tego balastu, utrzymując balon stale w żądanej wysokości.

Zresztą w łódce balonu zaprowadzono nadzwyczajny porządek co do rozmieszczenia instrumentów naukowych pomocniczych, które są niezbędne przy takiej podróży, a które trzeba tak ustawić, żeby w razie danym, kiedy np. chodzi o prędkie spuszczenie się na dół, można było je z szybkością kontrolować.

W służbie wojennej używają obecnie balonów przymocowanych na linie, tak zwanych *ballons captifs*, które do wielkiej wysokości wznieść się mogą i z których na wielkiej przestrzeni rozpoznać można ruchy nieprzyjaciela. Otóż i w tym kierunku komisya przez ministeryum wojny wyznaczona, zaprowadziła pewne ulepszenia, polegające głównie na zrobieniu materyi jedwabnej balonu zupełnie nieprzepuszczalnej dla gazów, na wzmocnieniu i ulżeniu liny, do której balon jest przyczepiony, wreszcie na znalezieniu sposobu bardzo szybkiego i taniego fabrykowania wodoru w wielkiej ilości.

Br. Abakanowicz.

Piśmiennictwo polskie.

(*Kilka uwag o podstawie i granicach filozofii przez Dra Stefana Pawlickiego. Kraków 1878 r.*)

(*Ciąg dalszy*).

„Jestestwo moje jest dla mnie pierwszą rzeczywistością. Wiem doskonale, że jestem. Gdybym żadnych nie odbierał wrażeń, żadnych zmian nie doznawał, rzekłbym: *rzeczywistość, to ja i czyny moje*. Ale że sam nie jestem, świadczą o tem wpływy i przemiany, na które wystawiony jestem ustawicznie. Mają one niewątpliwie jakąś przyczynę, bo dochodzą mnie i znikają. Gdyby nie miały przyczyny, byłyby zawsze we mnie. Ale gdzież ich przyczyna? Jaka jej rzeczywistość? Jeżeli dla tego jest rzeczywistą, że jest przyczyną rzeczywistych skutków, to taka wykombinowana rzeczywistość, nieprzystępna w sobie, lecz tylko w skutkach swoich, może być wystawiona na wszystkie urojenia subjektywizmu. Bo czemże skutek? faktem; czemże przyczyna? także faktem. Dla czego łączą dwa fakta? dla czego mówią o skutkach i przyczynach?

„Powiada Kant, że przyczynowość jest kategoryą naszego umysłu. Zdawało mu się, że tem na zawsze pobił skeptycyzm Huma, chociaż w gruncie nową mu broń do rąk wcisnął. Bo jeżeli przyczynowość jest formą umysłowości naszej i niczem więcej, nie mamy żadnej pewności, że jej rzeczywistość jakaś odpowiada. Hume nie przeczył rzeczywistości faktów, zniósł tylko ich wzajemny wewnętrzny stosunek.

„Rozwiązania zagadki szukać należy w doświadczeniu bezpośredniem. Jestestwo nasze nie jest tylko umysłem, widzącym następujące po sobie fakta. Umysł jest tylko jedną z władz naszych; bezpośrednio złączony z naszem jestestwem, w inny sposób je obejmuje aniżeli wrażenia, przychodzące ze świata zewnętrznego. Wiem, że nie tylko bierną, lecz i czynną jestem istotą. Czyny moje zawisły od woli mojej. Czynu bezemnie być nie może, on jest wynikiem jestestwa mojego. Jakiż będzie wzajemny ich stosunek? Oczywiście czyn mój, mniejsza o to, czy z wolnej decyzyi, czy pod naciskiem pozytywnej fatalności powstający, ma się do mego jestestwa, jak wypływ do źródła, utwór do twórcy, dziecko do rodzica. Ten stosunek poufały, prawie rodzicielski, między źródłem bytu a tem, co z niego powstało, nazywamy *przyczynowością*. Nie jest ono w pierwotnem znaczeniu mechanicznem następstwem dwóch faktów, lecz *łączeniem czynu z osobą naszą*, która go wydała. Ze siebie bierzemy miarę i podobieństwo do tłumaczenia świata zewnętrznego. Widząc tam następujące po sobie dwa wypadki, według analogii czynów naszych, tłómaczymy drugi, jako skutek pierwszego. Następowanie po sobie jest w przyczynowości czemś zewnętrznem, drugorzędnem, a głównem i niezbędnem jest udzielanie bytu. Co na zewnątrz przedstawia się następstwem faktów, wewnątrz samowiedzy jest antologicznem wydobywaniem się faktu niebędącego jeszcze, z istoty, która go do bytu powoływa.

„Kategorya przyczynowości za sobą inną wiedzie. Wzajemny stosunek przyczyny i skutku ma swoje uzupełnienie w *bycie niezależnym*. Wiedząc, że jestem przyczyną czynów moich, wiem także, jako one bezemnie być nie mogą, podczas gdy ja bez nich istniałem i nadal istnieć będę. Porównany z niemi jestem bytem niezależnym, od którego one zawisły. Tylko względnie jednak do czynów swoich osoba ludzka jest niezależną; we wielu innych stosunkach znajduje się w zupełnej zależności od jestestw innych, od ich wpływów, działania i bytu. Oczywistem jest, że istota każda względnie niezależna i względnie rzeczywista byt swój ma od jakiejś przyczyny. Gdybym znał tylko świat zewnętrzny, w którym czyn następuje po czynie, przemiana po przemianie, nie spotkałbym się nigdzie z niezależnem zjawiskiem. Wszystko byłoby zależnem, warunkowem, względnem. Jedynem miejscem gdzie dotykam się czegoś bezwzględnego, jest jestestwo moje, które, jakkolwiek ułomne, zależne, ograniczone, w jednym kierunku przecież niezależnem jest, gdy decyduje się być przyczyną, powołującą do bytu to, czego nie było przedtem — czyny swoje. Tam jedynie dowiedzieć się mogę bezpośrednim i dodatnim sposobem, co to przyczyna i niezależność, skutek i zależność. Przez rozbiór własnobytu, bo ten jeden znamy dokładniej, dochodzimy wprost do *istoty niezależnej*, z koniecznością tą samą, z którą czyny nasze do siebie samych odnosimy.

„Każde jestestwo zależne ma swoją racyą bytu w istocie niezależnej. Wydobywając z tej zasady wszystkie w niej zawarte wnioski, utworzę sobie dokładne pojęcie o niezależnym bycie, nie apryorystycznym wywodem, lecz biorąc treść całą z bezpośredniego doświadczenia, które mi dokładne, acz szczupłe podaje wiadomości o zależności i niezależności, o przyczynie i skutku. Potrzeba tylko usunąć wszelką zależność i skutkowość, a wtedy cechy niezależności i przyczyny pozbawione więzów ludzkiej osobistości, rozszerzą się w pojęcie zupełnie niezależnej osobistości.

„Z wszystkich tych uwag wynika, że mamy w doświadczeniu bezpośredniem kilka pojęć ogólnych i koniecznych, powiązanych między sobą, a opierających się na wspólnej zasadzie. Mamy więc wszystko pod ręką, potrzebne do ułożenia systematycznej nauki. A ta nie przestanie nigdy być rzeczywistą, gdyż wszystkie jej wnioski sprawdzają się wzajemnym lub dodatnim sposobem na faktach osobistego życia i bezpośredniego doświadczenia.

„Byt niezależny, jest istotą bezwzględnie konieczną. Bez niego wszelki sposób istnienia, czy razem ze światem, czy odrębnie, staje się dla mnie niepodobnym. Dla tego byt ów przedewszystkiem zajmie uwagę filozofa, bo jest najprzedniejszą koniecznością, w której wszystkie inne rodzaje konieczności mają swą zasadę, swe uprawnienie. W tem to znaczeniu Arystoteles, powiadając, że filozofia bytem zajmuje się, o ile jest bytem, oświadcza, że jeżeli Boga nie masz, także filozofii nie będzie, a miejsce jej zajmie fizyka, zkąd filozofią po prostu nazywa *teologią*. I słusznie! Tajemnice bytu w Bogu zawarte są i tylko w nim poznane być mogą.

„Tak tedy przedmiotem filozofii jest byt ogólny, konieczny, byt zaś szczegółowy jest przedmiotem nauk specyalnych. Filozofia w tem znaczeniu jest *metafizyką*. Jakiż jej stosunek do nauk przyrodniczych i historycznych, zajmujących się bytem szczegółowym?

„Matafizyka brana w sobie, oderwana od szczegółowego bytu, tak samo jak matematyka, nie potrzebuje nauk specyalnych do ustalenia prawd swoich. Polegając na bezpośredniem, osobistem doświadczeniu, może ona śledzić ogólne prawa bytu i z nich dalsze wyprowadzać wnioski. Gdy atoli zważymy na cel jej ostatni, którym jest poznanie bytu, oraz na środki niezbędne do dopięcia celu, rzecz się nieco odmiennie przedstawia. Zanim przystąpi do mozolnego obrabiania pojęć, powinna sobie zdać sprawę z narzędzia, którem się posługuje, powinna zbadać naturę i granice umysłu ludzkiego. Przejrzawszy całą naturę ludzką, zbadawszy istotę bytu, o ile danym jej jest w bezpośredniem doświadczeniu, pozostaje jej zająć się jeszcze nieprzejrzanym światem zewnętrznym, zmysłowym *obcobytem*, który wchodzi do samowiedzy niezliczonemi wrażeniami. Czy ma odważyć się na jego tłumaczenie? Metafizyka na bezpośredniem opierając się doświadczeniu i z niego prawdy swoje wysnuwając, nie może wprost decydować o prawdach, pochodzących z innego źródła. Tyle tylko wie, że nie mogą sprzeciwiać się jej pewnikom, ale nie koniecznie muszą niemi być objęte. Zna ona bezpośrednio *własnobyt*, a z niego za pomocą dedukcyi koniecznej do bytu bezwzględnego dochodzi. Resztę obcobytu zna tylko pośrednio, o ile zmysłom się

objawia. Dedukcya ustępuje miejsca indukcyi, będącej głównem narzędziem wiedzy pośredniej.“

Takie jest zapatrywanie się autora na poruszoną przez niego kwestyą i takie są wywody, któremi stara się swe zapatrywanie ugruntować. Wywody te przedstawiam w dość obszernem streszczeniu dla tego, że ksiądz Stefan Pawlicki ma pewne w naukowym świecie uznanie, dla tego, że rozprawę swą napisał w celu otrzymania katedry filozofii w krakowskim uniwersytecie a nareszcie dla tego, że w niej występuje z własnym sposobem rozstrzygnienia pewnych kwestyi, które mają wielką wagę dla filozofii, a na które rozmaici filozofowie rozmaicie zapatrują się. Cały powyższy wywód usiłowałem przedstawić jak najwierniej, posługując się własnemi autora wyrazami i przeprowadzając go w tym samym, co autor porządku, a to dla tego, by uniknąć zarzutu niezrozumienia autora, fałszywego przedstawienia jego myśli.

Przechodzę teraz do ocenienia pojęć autora i jego rozumowania

Rozpatrzywszy się pilnie w wywodach i rozumowaniach autora, łatwo się przekonać, że punktem oparcia całej jego rozprawy jest podział wiedzy ludzkiej na trzy rodzaje: na wiedzę bezpośrednią, pośrednią i objawienie. Pierwsze dwa rodzaje stanowią przyrodzoną wiedzę człowieka, wymagającą jedynie zdrowego rozsądku, ostatnia, nadprzyrodzoną, która wymaga wiary i łask nadprzyrodzonych. Formułą wiedzy bezpośredniej jest: Bezpośrednio znam byt i czyny moje, oraz wszystko czemu zaprzeczyć nie mogę, nie chcąc zaprzeczyć mego bytu i działania. Formuła wiedzy pośredniej powiada: Pośrednio mam byt i czyny obce, o ile objawiane mi są przez doświadczenie zmysłów lub też słowo ludzkie.

Ten sposób pojmowania wiedzy pośredniej i bezpośredniej jest wprawdzie nowy, temu zaprzeczyć nie można; pozostaje wszakże pytanie: czy jest lepszy od dotychczasowego?

Powszechnie rozumieją przez wiedzę bezpośrednią taką, która sama z siebie jest tak oczywistą, że nie tylko nie potrzebuje żadnego dowodu, ale go nawet mieć nie może. Doznając głodu, wiem, że głodny jestem i na to nie potrzebuję żadnego dowodu, sam fakt, że mam uczucie głodu, najzupełniej mi wystarcza. Trzymając w ręku jabłko, wiem, że mam jabłko i ktoby żądał odemnie na to dowodu, roześmiałbym mu się w oczy. Jestto słowem intuicya, która równąż ma doniosłość w obserwacyi wewnętrznej i zewnętrznej. Przeciwnie, wiedzą pośrednią nazywają taką, do której się dochodzi drogą rozumowania, która wymaga dowodów. Jestto wiedza we właściwem tego słowa znaczeniu, obejmująca cały zakres naszych wiadomości, stanowiących treść wszystkich nauk i umiejętności.

(C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 23. maja.

Tydzień ubiegły przedewszystkiem odznaczył się suszą na bruku lwowskim i suszą w całym kraju, nad którą biadający jęk obywatelski przecisnął się już do szpalt dziennikarskich. Ta sama susza, a za nią idąca jałowość panowała w stosunkach europejskich co się tyczy kwestyi wschodniej, z którą już oswoiliśmy się do tyla, że jeżeli kiedy naprawdę wybuchnie, to jej się przypatrywać będziemy z najobojętniejszą miną, niby mężowie tem wszystkiem znudzeni. Jeden tylko pan Giskra z fantazyą liberałów wiedeńskich dał znak większego ruchu w tym tygodniu, odmawiając Rządowi realizacyi owych sześćdziesięciu milionów już przyznanych na mobilizacyą wojsk przez delegacye wspólne; z czego się pokazuje, że *przyznać* a *dać*, nawet w c. k. Rządzie, są słowa nie mające tak wielkiego związku między sobą, jakby się na pozór zdawało. Słowo tym razem nie chce przemienić się w ciało, a nie chce dla tego, że w parlamentach z wiosną wyradzają się grzyby złośliwe zwane opozycyą, i to ciekawą opozycyą na co też będą użyte owe sześćdziesiąt milionów. A temu wszystkiemu najwięcej winni są żydzi krakowscy! Tak jest, czytelnicy, na ich sumieniu leży ta krnąbrność opozycyi. Posunąwszy się naprzód znacznie w uczuciach lojalności swej dla istniejącego porządku rzeczy, chcą zaprowadzić w synagogach oddzielne co sobota nabożeństwo za wszystkie władze państwowe w Austryi. Czytaliśmy w tych dniach drukowany egzemplarz tej modlitwy, w której, prosząc o zdrowie i pomyślność Najjaśniejszego pana i Dostojnej Jego rodziny, zanoszą w końcu błaganie o udzielenie rozumu wszystkim poszczególe wymienionym naczelnikom władz galicyjskich. Otóż między tymi działami nie ma ani wzmianki o opozycyi parlamentarnej; więc jedno z dwojga, albo że ta rozumu nie potrzebuje, albo jej rozum nie potrzebny. Po nastąpionym wypadku odmowy kredytu, spodziewamy się, że szanowni patryoci Mojżeszowego wyznania w Krakowie, wpiszą tam jeszcze prośbę o rozum dla opozycyi...

Nareszcie w ubiegłym tygodniu razem z panią Artot, Millerem, panną Deryng, pozbyliśmy się i socyalistów z Kongresówki, wywożąc Mendelsona i Hilda za granicę, ale już do Prus a nie do Rossyi. Łaska taka spotkała tych panów raz dla tego, że nazywają się Mendelsohn et Hild, a powtóre że w Prusach teraz po zamachu na życie cesarza, rozpoczynają się prawdziwe łowy na wyznawcow socyalistyczno-demokratycznych teoryi. Dostaną się zatem w dobre sieci, lepsze niż moskiewskie, które pozwalają uciekać z Warszawy takim ptaszkom; u nas co innego, nic się z tego rodzaju szkodników państwowych nie utrzyma, do kozy ich zaraz i marsz fora ze dwora!

Pozbywając się tylu innych niepotrzebnych rzeczy ze Lwowa i galicyjskiemu Towarzystwu gospodarskiemu przyszła ochota pozbyć się Dublan na rzecz kraju. Majątek ten, wskutek układów prowadzonych z Wydziałem krajowym, ma stać się własnością krajową za opłatą Towarzystwu gospodarskiemu rocznej renty w ilości podobno 1600 reńskich. Dualizm jaki w tych Dublanach od czasu przejścia szkoły rolniczej pod zarząd Wydziału krajowego tam zapanował, mimo że przyjął formy rządów austryacko-węgierskich, bo miał i delegacyą wspólną w osobie kuratoryi — okazał się do tego stopnia niepraktycznym, że ugoda nastąpiła daleko łatwiej niż w Trans i Cis-Litawii; spodziewamy się więc iż walne zgromadzenie Towarzystwa zwołane na 5. czerwca, nie będzie robić wielkiej opozycyi w zatwierdzeniu tej umowy. Szkoła wyższa rolnicza u nas, jest jedną z kwestyi tak zwanych piekących, dla tego przy zmianie właściciela Dublan już nic nie stanie na przeszkodzie jej rozwojowi, w czem mamy prawo liczyć na gorliwość i dobre intencye Wydziału krajowego a szczególniej samego marszałka, który przyszłość szkoły wziął bardzo do serca.

Kamień węgielny przyszłego szpitala dla dzieci pod imieniem św. Zofii, dzięki energicznej działalności księżnej Sapieżyny położony został z wielką uroczystością, a składki płyną na dalszą jego budowę z dość liczną ofiarnością. Miejsce wybrano zdrowe przy Łyczakowskiej ulicy obok szpitala powszechnego a to w tym celu, aby łatwiej korzystać mógł z pomocy lekarskiej szpitala powszechnego, który się tuż obok znajduje. Wśród ciągłych narzekań na apatyą, pokazuje się jednak, że są jeszcze u nas ludzie, którym dobro i pożytek bliźnich bliskie są serca, i którzy gdy mają chęć i dobrą wolę — mogą dla społeczeństwa stać się użytecznymi. W takim też celu dla poparcia Stowarzyszenia znanego u nas pod nazwą „Pracy kobiet“ zapowiedziany jest na 9. czerwca wspaniały festyn w ogrodzie miejskim, festyn połączony z loteryą fantową. O ile słyszeliśmy o staraniach, jakie się ze strony wysokiej protektorki tego Stowarzyszenia robią, uroczystość ma być świetna i cały tak zwany dobry ton lwowski wyznacza sobie na ten dzień schadzkę publiczną w ogrodzie miejskim. Prócz celu dobroczynnego, a raczej razem z nim, będzie to wystawa tegorocznych wiosennych kostiumów modnych, co spodziewać się należy skłoni do licznego udziału piękne nasze Lwowianki.

„Harmonia“ również na czwartek zapowiada podobny festyn na górze Zamkowej z muzyką, loteryą, illuminacyą i oświetleniem elektrycznem; — będzie więc gdzie i czem napoić oczy i uszy, użyć przyjemnej zabawy a zarazem dopełnić obowiązku obywatelskiego, przychodząc z pomocą Instytucyi godnej poparcia.

Tak więc w przededniu wielkiej burzy europejskiej, Lwów ma w perspektywie dosyć uciechy, bo nawet są amatorowie do wycieczki na ziemię węgierską, do której tak gościnnie zapraszają nasi sąsiedzi z Homonny.

Mówiąc o pozbyciu się w tym tygodniu wielu rzeczy leżących różnym na sercu, zapomnieliśmy o ważnem zdarzeniu w umysłowem życiu naszego miasta — to jest o rozstrzygnięciu konkursu dramatycznego imienia hr. Fredry. Otóż pierwszą premię w kwocie 600 złr. otrzymała komedya znana publiczności pod nazwą „Artykuł 264“, której autorem, jak się pokazało, jest znany, pierwszorzędny dziś dramaturg polski p. Kazimierz Zalewski, redaktor „Wieku“, pisma wychodzącego w Warszawie. Drugą w kwocie złr. 300 przyznano komedyi „Uproszone Zaloty“ pana Kajetana Kraszewskiego, brata znanego J. Ignacego Kraszewskiego. Nazwiska uwieńczonych przy dźwiękach muzyki — ogłoszone zostały ze sceny z wielką uroczystością w niedzielę, choć podobno nie przy wielkim natłoku publiczności. Tak więc, pierwszy konkurs dramatyczny lwowski nie przeminął bezowocnie dla literatury, a spodziewamy się, że i krakowski właśnie teraz zajmujący się ocenianiem sztuk ludowych, da również zadowalające rezultaty.

KORESPONDENCYA Z KRAKOWA.

13. maja.

Jako także korespondentowi „Tygodnia“ z Krakowa, chociaż, *mea culpa*, nie pisującemu systematycznie i odzywającemu się dość rzadko, niech mi wolno będzie dotknąć z odmiennego stanowiska niektórych faktów przedstawionych przez p. Z. w ko-

respondencyi umieszczonej w ostatnim numerze „Tygodnia.“ Konwenanse dziennikarskie są wprawdzie przeciwne zamieszczaniu różnych poglądów na te same sprawy, wychodzących z pod pióra autorów, którzy zarówno występują w charakterze współpracowników, i zwykle w takim razie redakcya oświadcza się za jednym z nich, daje mu miejsce w swoich łamach, a pogląd przeciwny skazuje na szukanie go sobie gdzieindziej, albo przybranie formy nadesłanego przez kogoś z interesowanych artykułu; nie będzie to jednakże bynajmniej szkodliwem, owszem dobrym przykładem stać się może, jeżeli redakcya „Tygodnia“ w tym przypadku wyłamie się z pod tych konwenansów i zasadzie *audiatur et altera pars* cokolwiek obszerniejsze da zastosowanie, zwłaszcza że pogląd mój od poglądu szanownego korespondenta Z. nie różni się zasadniczo, patrzę tylko nieco chłodniej, a niekiedy może trochę objektywniej na rzeczy, zaś p. Z. skreślił bardzo zajmujący i w wielu miejscach trafny obrazek obecnych spraw krakowskich, lecz tu i owdzie dla większego efektu trochę zaostrzył kontury rysunku i trochę za jaskrawe dał barwy.

Stańmy przedewszystkiem w obronie Rady miejskiej. Można jej bardzo wiele zarzucić, ale nigdy nie można zarzucić tego co zarzuca p. Z., a mianowicie, że pożyczyła półtora miliona i „nie wiedząc co z nim robić złożyła go w depozycie bankowym, płacąc naturalnie podwójny procent: wierzycielom i bankowi.“ Jestem przekonany, że p. Z. napisał te słowa jako niewinny żarcik, ale trzeba być bardzo obeznanym ze sprawami krakowskiemi, żeby się domyślić, że to jest żarcik, dla tego stając w obronie Rady miejskiej tem chętniej, że wiele razy zdarzało mi się stawać przeciwko niej, wyjaśniam, że całe to twierdzenie p. Z. jest produktem wesołego humoru. Pożyczywszy półtora miliona i otrzymawszy tę sumę w gotówce w bardzo krótkim przeciągu czasu, Rada miejska nie mogła jej wydać z dnia na dzień, a nie chcąc trzymać w kasie magistratu bezprodukcyjnie, ulokowała częściami w różnych instytucyach miejscowych a nawet zamiejscowych, ale nietylko nie płaci od nich bankom depozytowego procentu, lecz bierze od nich procent, umiarkowany wprawdzie, ale w każdym razie znacznie większy od tego, jaki opłaca swoim wierzycielom, bo p. Z. zapomniał, że pożyczka zaciągnięta przez Kraków jest *bezprocentową*, a na premie dla wygrywających losów miasto nie wydaje nawet 3% od wypożyczonego kapitału. Nieprawdą jest również, żeby Rada miejska nie wiedziała co robić z pożyczoną sumą. Cała ta suma obróconą została na różne budowy gmachów szkolnych, rzezalni, koszar straży ogniowej, Sukiennic itd. itd. Szkoda tylko, że na ważniejsze, chociaż zarazem najkosztowniejsze przedsiębiorstwa, jak wodociągi i osuszenie Starej Wisły, nie wystarczyło. Ale na te dwa przedsiębiorstwa, chcąc je szybko i należycie wykonać, potrzeba byłoby użyć prawie całej pożyczki, a inne potrzeby, jak gmachy szkolne, rzezalnia, koszary, dom na cmentarzu, były bardzo gwałtowne, więc Rada gospodarowała pożyczoną sumą w ten sposób, że tamte przedsiębiorstwa musiały być odłożone, a tym sposobem z zaliczki zwrotnej użyto część kapitału na odbudowę Sukiennic. Jeżeli komu się to niepodoba, może z tego względu postępowanie Rady miejskiej poddać krytyce, ale nie oskarżać ją najniesłuszniej o manipulacye godne kretynów i idyotów.

Przechodząc do spraw naszych finansowych instytucyi p. Z. woła: „Przypatrzcie się i uznajcie wyższość Krakowa nad znihilizowanym, zdemokratyzowanym, ultraradykalnym waszym Lwowem.“ Tu znowu czytelnikowi zdawać się musi, że p. Z. żartuje, a bliżej obeznani ze sprawami krakowskiemi mniemać będą, że mówi seryo, boć żadna jeszcze instytucya krakowska nie przyszła do takiego stanu jak np. we Lwowie Towarzystwo kredytowe miejskie.

Na bardzo dziwnym gruncie stawia p. Z. sprawę kasy oszczędności i Towarzystwa zaliczkowego. Oto powiada, że dyrektor kasy nie lubi „zagranicznych,“ którzy przybywają z za komory Michałowice, a że dyrektor Towarzystwa jest takim „zagranicznym,“ więc ta nienawiść zrodziła w „Czasie“ inserat „panów ciekawskich“ atakujący rachunki dyrektora Towarzystwa, a chęć odwetu ze strony dyrektora Towarzystwa wywołała zawiadomienie władzy właściwej atakujące rachunki dyrektora kasy. Jest to jak pierwszy rozdział Ewangelii św. Mateusza: Abraham zrodził Izaaka a Izaak zrodził Jakuba i w Krakowie powtarzają tu wszyscy, więc trudno się dziwić, że to i p. Z. powtórzył. Tylko o owej nienawiści dyrektora kasy do „zagranicznych“ dowiadujemy się po raz pierwszy, bo dotąd było wiadomo tylko ogólnie, że p. Slęk z p. Kicińskim nie lubią się wzajemnie, a powody tej niechęci wzajemnej, jako niemogące wpłynąć na przyszłość Europy po pokoju w San-Stefano były traktowane jako rzecz obojętna. Faktem jednakże jest, że pp. Slęk i Kiciński kolegowali z sobą w kasie oszczędności, gdy ta kasa była jeszcze, jak powiada p. Z. „wolnego stanu,“ to jest nie połączona z miastem, a między kolegami mogą się znaleść daleko bliższe powody przyjaźni albo niechęci i nie potrzeba ich szukać aż za komorą Michałowice.

Jakkolwiek przecież „księgi rodzaju“ antypatyi tych dwóch dyrektorów powtarzane są tutaj jak Ewangelia, nie wynika ztąd, żeby ta mniemana czy rzeczywista antypatya była powodem zajść w kierowanych przez nich instytucyach. Dwaj dyrektorowie mogliby się z sobą nienawidzieć ile im się podoba, i ztąd nie wyniklyby żadne „nieprawidłowości“ w instytucyach im powierzonych, jeżeli więc były „nieprawidłowości,“ to wynikły z innej przyczyny, a w jakiej drodze zostały wykryte, czy przez inserat w *Czasie*, czy przez doniesienie przesłane przewodniczącemu komisyi kontrolującej, jest to znowu rzecz obojętna, idzie tylko o to jaką była istota owych „nieprawidłowości“ (nazwa techniczna.)

Otóż p. Z. widocznie ani co do Towarzystwa zaliczkowego, ani co do kasy oszczędności nie zna natury tych uchybień. W Towarzystwie zaliczkowem oprócz nadużyć popełnionych przez p. N., byłego kontrolora, mogły być jeszcze uchybienia rachunkowe, gdyż na walnem zgromadzeniu odbytem d. 30. kwietnia (data korespondencyi p. Z.), oświadczono wyraźnie w imieniu Rady nadzorczej, że *bilanse były układane niezupełnie prawidłowo*, a dyrektor Towarzystwa bynajmniej temu nie zaprzeczył, ale w kasie oszczędności uchybień rachunkowych bezwarunkowo nie było, a nawet nikt jej tego nie zarzucał, i pierwszy dopiero p. Z. ogłosił światu, że „przewodniczący komisyi kontrolującej kasy oszczędności otrzymał zawiadomienie o pewnych niedokładnościach w rachunkach przedstawianych przez dyrekcyę.“ Tego zarzutu nie zrobił kasie oszczędności nawet dr. Bochenek, całe więc to twierdzenie p. Z. jest mylnem. Jeżeli były „nieprawidłowości,“ to były wcale innego rodzaju. Każdy dochód jaki wpłynął do kasy, został zapisany do ksiąg. Każdy rozchód podobnież, zamknięcia rachunków układane były prawidłowo, jest to fakt nie ulegający najmniejszemu zaprzeczeniu. Sam sprawozdawca komisyi kontrolującej, chociaż potępia dyrekcyę, oddaje jej pod tym względem sprawiedliwość. Mogły zajść i zachodziły pomyłki mniejsze lub większe w obliczeniach, bo tego nikt i nigdzie nie uniknie, ale z tego nikt bezstronny nie może robić dyrekcyi zarzutu i nikt też nawet stronny nie robi, dla tego, że w sprawach rachunkowych sąd wydaje arytmetyka, a ta w końcu zawsze tylko prawdzie słuszność przyznawać zwykła.

Co innego też zarzucano dyrekcyi kasy oszczędności. Zarzucano jej mianowicie, że kasa *w czasie krachu 1873 r.* na niektórych zastawach papierów straciła część spodziewanych procentów, a na dwóch zastawach p. Gostomskiego poniosła nawet stratę w kapitale; zarzucano dyrektorowi, że będąc dłużnym kasie pewną sumę, którą jeszcze przed objęciem posady dyrektora, na zastaw papierów pożyczył, nie zapłacił od niej procentów zaraz przy spłacie pożyczki, ale dopiero w chwili rozpoczęcia śledztwa. To były dwa główne i na faktach oparte zarzuty, ale i co do tych nawet nie wykazała się żadna wina, żadna chęć przywłaszczenia sobie funduszów instytucyi. Wykazał to w swojej broszurze p. K. A., ale i bez tej broszury każdy bezstronny mógłby był przyznać, że straty w każdej instytucyi, a zwłaszcza w czasie takich przesileń jak krach, są nieuniknione; że ten, kto nie udzielał pożyczki, bo nie był wówczas dyrektorem, nie może być odpowiedzialnym za jej nieodebranie w części lub w całości dla tego, że później dyrektorem został; że kasa oszczędności, jak każdy kto pobiera procent, otrzymuje już w tym procencie pewną premię asekuracyjną na pokrycie możebnych strat z nieodebrania kapitału lub procentu wyniknąć mogących, nie ma więc prawa żądać, aby jej tę stratę pokrywali z własnej kieszeni dyrektorowie; że dyrektor Slęk, gdyby był osobą prywatną, to byłby także nie zapłacił procentu i nikt by za to nie miał do niego żadnej urazy, ponieważ papiery, które dał w zastaw z powodu krachu spadły, i niepokrywały wziętej pożyczki, oraz narosłych od niej procentów.

Czyniono dyrekcyi kasy oszczędności różne inne jeszcze zarzuty, ale te wszystkie odparł w swojej broszurze p. K. A. wykazując, że to były nieformalności nie mające żadnego znaczenia, a najczęściej interesem innej instytucyi nakazane, nigdy zaś nie pochodzące z żadnej nagannej pobudki. Na wywody p. K. A. obszerne i wyczerpujące nikt dotąd ani jednem słówkiem nie odpowiedział, pomimo, że broszura wyszła przed miesiącem przeszło, i jestem przekonany, że nikt ich obalić nie zdoła. Co większa, sama Rada miejska w sprawie tej wyraziła pośrednio, że nie jest z działalności sprawozdawczej dra Bochenka zadowoloną, gdy bowiem w tych dniach, dnia 9go maja skończył się mandat 12 członków wielkiego wydziału kasy oszczędności, a w ich liczbie dr. Bochenka i potrzeba było wybrać nowych, bezprzykładnym prawie w parlamentaryzmie wypadkiem dr. Bochenek referent tak ważnej sprawy, *przepadł* (wyrażenie techniczne), tak, że teraz chyba tylko w drodze uzupełniającego wyboru, bo jednego członka brakuje, lub przez zrzeczenie się mandatu przez którego z członków może wejść do wydziału na nowo i bronić swoich... arytmetycznych omyłek.

Być bardzo może, że i p. Z. przyszedłby do przekonania, iż zarzuty dra Bochenka obronić się nie dadzą, gdyby był czytał broszurę p. K. A., ale p. Z. nie przeczytał jej wcale — wydawała mu się zbyt gruba! (rzeczywiście aż 141 str. ścisłego druku i dość wielkiego formatu, najeżonych cyframi od początku do końca). Śmiem twierdzić że p. Z. nie czytał tej broszury dla tego, że p. Z. powiada, iż „dr. Bochenek i p. „nie-K. A.“ są biegli w rachunkach.“ Otóż p. Z. nie byłby tego napisał, gdyby był broszurę czytał. Jeden z tych panów może być biegłym w rachunkach, a drugi nie, albo obaj rachować nie umieją, w żaden zaś żywy sposób obaj nie mogą być rachmistrzami biegłymi. Przyzna to każdy, kto przeczyta str. 88—92 broszury, gdzie p. K. A. aż *piętnastoma* rachunkowemi dowodami wykazuje, że dr. Bochenek nie umie obliczać procentów, że obliczenia, których

użył w sprawozdaniu, są arytmetycznie fałszywe. Nigdzie też p. K. A. nie zarzuca dr. Bochenkowi „nieuczciwości“ sprawozdawczej, zarzuca mu tylko „tendencyjność“ i „niedokładność“ w najrozmaitszych jej objawach.

Ale p. Z. zamiast przeczytać broszurę, wolał dochodzić czy p. K. A. ma prawo używać tych dwóch liter początkowych do oznaczania swoich praw i twierdzi, że go nie ma, bo nie jest ani K. ani A. Otóż i pod tym względem p. Z. źle jest poinformowany. Gdyby był zajrzał do aktu urodzenia spisanego w d. 4go maja 1837 r. w parafii św. Krzyża w Warszawie, to by się był przekonał, że autor broszury, jeżeli chciał się tylko dwiema literami podpisać, miał równe prawo użyć K. A. jak W. S. albo innej z tych głosek kombinacyi. Że zaś p. K. A. na swoich pracach częstokroć nie podpisuje się wyraźnie, pochodzi to nie z jego winy, lecz z winy cara Aleksandra, w imieniu którego, nie mogąc być skazanym na inny rodzaj śmierci, został skazanym na śmierć literacką, tak, że nawet Szyller i Lessing w jego przekładach chcąc się dostać do Warszawy, musieli go prosić, aby zataił swe nazwisko, gdyż inaczej nie byłoby im pozwolono tam się przejechać. Z tego powodu zdarzają się tu nieraz zabawne *qui pro quo*. Onego czasu hr. Tarnowski zgromił w „Przeglądzie Polskim“ przekład Wallensteina przedstawiony na tutejszej scenie, a potem wyniósł pod niebiosa w temże piśmie przekład wydany w Warszawie, był to jednak przekład ten sam. Później recenzent teatralny „Czasu“ zganił przekład Emilii Galloti, przedstawiany w Krakowie, a zwrócił uwagę na tłumaczenie bezimienne warszawskie, naturalnie jako na lepsze, i znów nie wiedział, że to tłumaczenie toż samo. Teraz znowu p. Z. zarzuca p. Slękowi, że nienawidzi „zagranicznych“ z za Michałowic, aż tu się okazuje, że właśnie jeden z takich „najzagraniczniejszych,“ pisze gruby wolumin w obronie tegoż p. Slęka, nie musi to zatem być nienawiść taka zaciekła... tembardziej, że zatajenie nazwiska autora broszury nastąpiło jedynie dla tego, aby praca p. K. A. niektórym owym „zagranicznym,“ to jest za Michałowicami przybywającym nieprzyjaciołom pana Slęka posłaną być mogła...

Zresztą dość o tej sprawie, bo i tak miejsca za wiele nią zająłem. Posyłam wam broszurę p. K. A. — osądźcie ją sami.

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Archiwum wróblewieckie* zeszyt III. z rękopismów wydał Władysław Tarnowski. 8ka, str. 194. Lwów 1878. 1.80

— *Janiszewski ks. Jan Chryzostom.* Dwadzieścia mów i kazań przygodnych. 8ka, str. 271. Lwów 1878. 1.75

— *Kunasiewicz Stanisław.* Pogadanki o tłómaczach poetów polskich. I. Dr. M. Rappaport, jego stanowisko w społeczeństwie żydowskiem i kraju. Wydanie wtóre pomnożone. 16ka, str. 90. Lwów 1878 70 cnt.

— *Le moment* par un ancien député, a la diéte de Gallicie. 8⁰, pag. 42. Leopol 1878. 40 ct.

— *Laszczyński Dr. Wł.* O racyonalnem zastosowaniu nawozów sztucznych. 8ka, str. 19. Poznań 1878. 20 ct.

— *Ostatnie chwile Unii.* Czasy Nerona w XIX wieku pod rządem moskiewskim. 8ka, str. 264 i CXXXVI. Lwów 1878. 2.25

— *Piętak Dr. Leonard.* O istotnych znamionach czynności kredytowych i ich nieważności według ustawy lipcowej z roku 1877. 8ka, str. 216. Lwów 1878. 80 ct.

— *Roniecki Emil.* Drobne poezye. 8ka, str. 71. Lwów 1878 80 ct.

— *Rozbiór krytyczny* dzieła Wilhelma Drapera pod tytułem: „Historya zatargu religii z nauką.“ 8ka, str. 173. Kraków 1878. 1 złr.

— *Sources minerales* et etablissement imperial royal des bains de Krynica. 8⁰, pag. 22. Cracovie 1878. 25 ct.

— *Zbrożek Piotr.* Gmina Zalesie. 8ka, str. 40. Lwów 1878. 8 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

⁂ Czytamy w *Nowinach* warszawskich. Kilka tygodni upłynęło od wyroku wydanego przez przysięgłych krytyków prasy warszawskiej w sprawie Spasowicza i Pola. Stawiono pod pręgierzem opinii publicznej człowieka wielkiej zasługi dla piśmiennictwa i wielkiej ofiarności dla kraju. Nie wahano się potrącić o wszystkie struny narodowego egoizmu, aby tylko zaczerpnąć garść argumentów dla potępienia przeciwnika.

Pismo nasze było pierwsze, które w obronie prawdy wystąpiło. Zarzucono nam podówczas zbyt ostre wystąpienie. Nie uwzględniono jednak, że po za parawanem ogólników, którymi w odczycie Spasowicza szafowano tak hojnie, kryły się *insynuacye*, przeciwko którym zmuszeni byliśmy podnieść protest głośnego oburzenia.

Na osobiste zaczepki niektórych pism nie odpowiedzieliśmy wcale. Sprawa była zbyt ważną, aby ją godziło się sprowadzać na pole ubliżającej polemiki osobistej. Czekaliśmy, aż czas, ten najlepszy lekarz, sprowadzi reakcyę.

Nie zawiedliśmy się.

Po wydrukowaniu odczytu w ostatnim zeszycie „Ateneum“ można było z łatwością zauważyć powolną zmianę opinii publicznej. Zdrowy rozsądek naszego społeczeństwa długo fałszywymi drogoskazami bałamucić się nie dał. Nastąpiła *reakcya*, reakcya prawdziwa, reakcya trzeźwości sądu i uczciwości przekonań.

Zaczęto zastanawiać się, gdzie się kryją owe lekceważenia, o których tak wiele mówiono, owe „tendencye, niepopularne w naszem społeczeństwie“, ów brak miłości dla wszystkiego co swojskie?... I ze zdziwieniem dowiedziano się, że wszystkie te przekroczenia wylęgły się w bujnej wyobraźni piszących, którzy w swoim ferworze własną fantazyą dopełnili nie mówione zdania.

Jednym z takich objawów uczciwej reakcyi jest bez zaprzeczenia artykuł pomieszczony w ostatnim Nrze „Tygod. Illustrow“., pióra szanowanego powszechnie redaktora głównego tegoż pisma p. Ludwika Jenikiego pt. „Odczyty Włodzimierza Spasowicza z katedry i w druku“.

Szanowny autor rozbiera po szczególe zarzuty prasy warszawskiej i przychodzi do następnych wniosków:

„Odczyty p. Spasowicza wywarły w ogólności na słuchaczach wrażenie dosyć nieprzyjemne. Była to wiwisekcya, na utworach zgasłego poety i zarazem na sercach publiczności, dokonana przez zręcznego anatoma, ale w sposób zbyt dotkliwy; było to sondowanie ran i wycinanie narośli, rzeczywistych czy mniemanych, szorstką dłonią badacza, troszczącego się tylko o naukę, chociaż to samo uskutecznić się dawało w formie zewnętrznej nierównie łagodniejszej.

„Krytyka też miejscowa, z małemi bardzo wyjątkami, odezwała się o tych występach surowo, z bezwzględnem prawie potępieniem. Przyznaję nawet otwarcie, że i ja także, po wysłuchaniu obu wykładów, zostawałem długo pod wpływem wcale niemiłym, nie dosłyszawszy wielu rzeczy pięknych, a niedokładnie zrozumiawszy inne.

„Dziś jednak, po uważnem odczytaniu studyum pana Spasowicza, sumienie, a nawet prosta uczciwość nakazuje mi wyznać, że wręcz przeciwne poprzedniemu odebrałem wrażenie. Bystrość poglądów, świeżość i głębokość myśli, które autor pełnemi garściami rozrzuca, nie mając tylko czasu ani miejsca na obszerniejsze ich rozwinięcie, wychodzą tu na jaw w całej pełni; zarzuty zaś, prawie wszystkie, topnieją pod promieniami sądu spokojnego i bezstronnego...“

Oto w jaki sposób spowiada się ze swoich przekonań jeden z najpoważniejszych naszych literatów i krytyków.

Do słów jego nic dodać nie chcemy, uważamy je nietylko za trafne przedstawienie własnego poglądu ale i poglądu całej inteligentniejszej i bezstronnej części naszego społeczeństwa.

Tyle „Nowiny“.

My z naszej strony zapytujemy galicyjskie dziennikarstwo czy *„sumienie a nawet prosta uczciwość“* nie nakazuje mu pójść za przykładem p. Jenikiego? Czy może u nas inne pojęcia o uczciwości?

ROZMAITOŚCI.

WENTYLACYA I ODDYCHANIE.

Z pierwszym błyskiem letniego słońca odskoczyły zaryglowane, kitem i bawełną szczelnie opatrzone okna; każdy pragnie świeżem oddychać powietrzem, czy to bogaty mieszkaniec pałacu, czy na ubogiem poddaszu przy pracy ślęczące robotnice.

Wszyscy bezwiednie prawie wypełniają jeden z najkardynalniejszych warunków higieny, przewietrzając swe mieszkania przez otwarcie okien.

Duszna atmosfera, w której tysiące trawi swe życie, jest pewnym rodzajem trucizny, do której jak Mitrydat przyzwyczaić się można, lecz zachować w niej zdrowie niepodobna.

Badania lekarzy i chemików podały pod tym względem ciekawe rezultaty. Mówi się i pisze dużo o „czystem powietrzu“, należałoby bliżej określić znaczenie owego czystego powietrza ze stanowiska nauki.

Chemicznie czystego związku tlenu i azotu we właściwym stosunku normalnym nie znajdujemy często w naturze, a cóż dopiero w miejscach zamkniętych; mięszają się z niem rozmaite inne gazy, cząstki órganiczne i t. d Chcąc przeto ocenić stopień czystości powietrza, potrzeba według Pettenkofera oznaczyć ilość zawartego w nim kwasu węglowego, nie dla tego, iż zbytek takowego bywa szkodliwym, lecz z tej przyczyny, że z nim łączy się zazwyczaj w pewnej proporcyi zawartość domieszek bądź to organicznych, bądź też chemicznych.

Pettenkofer robił doświadczenia w celu przekonania się, jaka ilość kwasu węglowego w powietrzu może być jeszcze nieszkodliwą, i wykazał, że 0.7 na tysiąc jednostek objętości nie objawia się ani zapachem, ani żadnem innem wrażeniem.

Ponieważ zwyczajna domieszka gazu węglowego w powietrzu wynosi 0.3 do 0.4 na tysiąc, przeto można ją bez szkody dla zdrowia podwoić w miejscu zamkniętem; powietrze zaczyna się psuć, kiedy skutkiem wydechania lub innych jakich przyczyn zawartość kwasu węglowego dochodzi do 1 na 1000, — wówczas dłuższe przebywanie w takiej atmosferze musi być szkodliwem.

Zmysł powonienia ostrzega nas przedewszystkiem o zepsutem powietrzu, chociaż i jemu nie zawsze dowierzać można, a zresztą od delikatności węchu zależy też ta naturalna kontrola.

Do utrzymania czystego i zdrowego powietrza potrzebną jest koniecznie częsta jego wymiana, za pomocą tak zwanych wentylacyi.

Nowsza sztuka budownicza uwzględnia ten konieczny warunek hygieniczny w budowlach szczególniej na tłumne zebrania przeznaczonych, na dłuższe pomieszczenie większej ilości osób, jak w gmachach szkolnych, koszarach, szpitalach i t. p.

Wszelako wszelkie możliwe środki wentelacyjne umożebniające przewiew silny i regularny nie zaradzą wszystkiemu, jeżeli desinfekcya nie wyniszczy źródła szkodliwych wyziewów zatruwających powietrze. Otwieranie okien w mieszkaniach nie przyczyni się całkowicie do odświeżenia atmosfery, jeżeli czystość w domu nie będzie utrzymaną bezustannie z możliwie niezmordowaną gorliwością.

Niestety, człowiek oddychać musi a do tego oddychać tem powietrzem, jakie go jedynie otacza. Anglicy podają obecnie wielce zalecany sposób oddechania, który podobno chroni od skutków zaraźliwych miazmatów i przyczyniać się ma do utrzymania zdrowia. Znany podróżnik angielski George Catlin wydał już w szóstej edycyi książeczkę, w której daje następu-

jącą radę: „chcesz żyć zdrowo, oddychaj z zamkniętemi ustami!“

Autor utrzymuje, iż długie lata spędziwszy pomiędzy plemionami indyjskiemi w północnej Ameryce miał wiele sposobności przekonać się o skuteczności tej zasady hygienicznej. Gdzie tylko cywilizacya nie przyniosła ze sobą wódki i zepsucia, tam w stanie natury żyjący człowiek nie znał wielu naszych dolegliwości i chorób. Catlin opisuje osady indyjskie, złożone z 1500 głów, gdzie nie pamiętają, aby umarło dziecko niżej lat 10-ciu ze słabości, — chyba z wypadku.

Przyczyną tej zadziwiającej różnicy śmiertelności pomiędzy białymi a indyanami, widzi autor w zwyczaju dzikich otwierania ust tylko przy jedzeniu i przy mówieniu. Do oddychania ma człowiek nos przeznaczony, nie usta; nosem przechodząc powietrze dostaje się do płuc czyściejsze, cieplejsze. Sen bywa spokojniejszym, kiedy się śpi z zamkniętemi ustami; kto się budzi spragniony, z wyschłem gardłem i spieczonemi wargami, ten się snem nie pokrzepił.

Catlin pisze w swej broszurze, iż na pewnym okręcie, na którym wybuchła febra żółta, ci najpierw jej ulegli, którzy mieli zwyczaj siedzieć z otwartemi ustami.

On sam dopiero w późniejszym wieku przyzwyczaił się do zamykania ust podczas snu i od tego czasu czuje się znacznie zdrowszym. Przy tej sposobności powstaje autor przeciw używaniu respiratorów, które przyczyniają się do psucia zębów i odzwyczajają od oddychania przez nos. W końcu udziela Catlin matkom europejskim radę, aby podobnie jak indyanki czuwały nad śpiącemi dziećmi i przyciskały im brodę, dopóki nie nauczą się spać z zamkniętemi ustami.

Jakkolwiek empiryk angielski zanadto wiele przypisuje wagi swojej zasadzie: „*shut your mouth and save your life,*“ to przecież ma ona za sobą wiele względów racyonalnych i posłuchać jej nie zawadzi.

Na szczególniejszą uwagę zasługiwać powinny sypialnie i pokoje dla dzieci przeznaczone, ażeby podczas snu o ile możności powietrze mogło być odświeżane. Jeszcze Franklin zauważył, że zdrowiej jest spać przy otwartem oknie i oddychać zimnem powietrzem, byle tylko pod dobrem okryciem, aniżeli dusić się w zepsutej atmosferze, przeciążonej wyziewami i zepsutym oddechem.

Rozumie się, iż do takiego trybu życia potrzeba się umiejętnie i powoli od młodu hartować, inaczej można przypłacić zdrowiem, a nawet życiem nieznaczną próbę hygieniczną. *Kur. War.*

BITWA POD SEDANEM.

Wiktora Hugo.

I.

Powracałem z czwartego wygnania (z wygnania do Belgii, rzecz małej wagi). Było to w ostanich dniach września 1871 roku. Wjeżdżałem do Francyi przez granicę luksemburską. Zasnąłem. Nagłe wstrząśnienie zatrzymującego się pociągu zbudziło mnie ze snu. Otworzyłem oczy.

Pociąg stanął wśród czarującego krajobrazu

Znajdowałem się w zmierzchu nagle przerwanego snu. Myśli niewyraźne i rozpierzchłe bujały pomiędzy rzeczywistością i mną. Byłem odurzony przebudzeniem.

Rzeczka płynęła wzdłuż kolei żelaznej, okalając przejrzystemi wody wysepkę wesołą i zieleniejącą. Zieloność była tak gęstą, że kurki wodne wchodząc w nią kryły się i znikały. Dalej rzeka toczyła swe wody przez dolinę podobną do wielkiego ogrodu. Znajdowały się w nim jabłonki, które przywodziły na myśl Ewę i wierzby przypominające Galateę.

Było to w jednym z miesięcy przesilenia dnia z nocą, kiedy się czuje cały powab kończącej się pory roku, — jeżeli to zima kona, słyszy się zbliżanie wiosennej pieśni, jeżeli gaśnie lato widzi się na widnokręgu ulotny uśmiech, który jest jesienią.

Wiatr uśmierzał i dostrajał do harmonii owe szczęśliwe odgłosy, które są gwarem równin: dźwięk dzwonków kołysał szmer pszczół; ostatnie motyle witały się z pierwszemi jagodami winnemi. Ten moment roku łączy wesele życia z bezwiednym smutkiem bliskiej śmierci. Łagodność promieni słonecznych nie da się wysłowić. Piękne ziemie pokrajane bruzdami, poczciwe dachy wieśniacze; pod drzewami trawa przysłonięta cieniem, ryk bydła, zupełnie jak w Wirgiliuszu i dym chat, przez który przeciskają się promienie światła, taką była całość krajobrazu. W oddali dzwoniły kowadła, — rytm pracy człowieka w harmonii przyrody. Przysłuchiwałem się, myśląłem, nie zdając sobie sprawy z moich myśli. Dolina była czarująca i spokojna, niebo lazurowe wyglądało jakby wsparte na łańcuchu wdzięcznych pagórków, zdala dolatywał świegot ptasząt, a blisko mnie głosy dzieci, jak dwie połączone pieśni aniołów; istotę moją ogarniało otaczające mnie przezrocze; wszystkie te wdzięki i cała ta wielkość odbiły się w mojej duszy blaskiem zarania.

Wtem jeden z podróżnych zapytał:

— Jak się nazywa ta miejscowość?

Odpowiedziano mu:

— To Sedan.

Drgnąłem.

Ten raj był grobem.

Spojrzałem. Dolina była okrągła i zapadła jak głąb krateru; rzeka wijąca się wstęgą, podobna była do węża; wysokie pagórki, pietrzące się jedne za drugiemi, otaczały to tajemnicze miejsce jakby potrójnym szeregiem niezbłaganych murów, — kto raz tu wszedł, musi już po zostać. Dolina przypominała cyrk. Dziwna jakaś zieloność, jakby przedłużenie Czarnego lasu, objęła wszystkie te wzgórza i niknęła na horyzoncie na kształt olbrzymiej, nieprzeniknionej zasadzki. Słońce świeciło, ptaki śpiewały, woźnice przejeżdżali pogwizdując, gdzieniegdzie widać było owce, jagnięta i gołębie, liście drżały i zdawały się szeptać z cicha. Murawa, owa gęsta murawa, była pełna kwiecia Przerażający widok!

Zdawało mi się, że widzę nad tą doliną drgające błyski miecza archanioła.

Ten wyraz Sedan był jakby rozdartą zasłoną. Krajobraz nagle stał się tragicznym. Owe niewyraźne oczy, które kora tworzy na pniach drzew, zdawały się spoglądać. Na co? Na coś strasznego, na widmo.

Tak, to tu się stało! i w chwili kiedym przejeżdżał, upłynęło trzynaście miesięcy bez kilku dni — w tem miejscu znalazł rozwiązanie potworny zamach drugiego grudnia. Upadek straszny!

Nie można badać ciemnych dróg losu bez głębokiego bólu serca

II.

W dniu 31 sierpnia 1870 roku, armia zgromadzoną była i jakby skupioną pod murami Sedanu, w miejscowości zwanej Givonne. Armia ta była armią francuską, dwadzieścia dziewięć brygad, piętnaście dywizyj, cztery korpusy, dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi. Armia owa znajdowała się w tem miejscu niewiadomo dlaczego, bez porządku, bez celu, w nieładzie, jakby kupa ludzi rzuconych tam na to, aby ich pochwyciła dłoń olbrzyma.

Armia ta wówczas nie wiedziała lub nie zdawała się wiedzieć o żadnem bliskiem niebezpieczeństwie. Wiedziano lub też wyobrażano sobie, że nieprzyjaciel znajduje się dość daleko. Licząc na dobę po cztery mile, był oddalony o trzy dni marszu. Nad wieczorem jednakże wodzowie wydali kilka rozmaitych strategicznych rozkazów. Armia opierała się tyłami swemi o Sedan i Meusę, osłonięta dwiema liniami bojowemi. Jedną z nich tworzył siódmy korpus, a rozciągała się od Floing do Givonne, a druga złożona z 12 korpusu, ciągnąc się od Givonne do Bazeilles, co razem tworzyło trójkąt, którego podstawą było koryto Meusy.

Dwunasty korpus, złożony z trzech dywizyj, Lacretelle, Lartigue i Wolff, uszykowany w prostej linii z artyleryą zajmującą stanowiska pomiędzy brygadami, stanowiła prawdziwą zaporę, na dwóch końcach której leżały Bazeilles i Givonne, a w pośrodku Daigny; dwie dywizye Petit i Lheritier, skupione z tyłu w dwóch liniach, wspierały ową zaporę. Dwunastym korpusem dowodził generał Lebrun. Siódmy korpus pod dowództwem generała Douay, miał tylko dwie dywizye: dywizyę Dumont i dywizyę Guibert i stanowił drugą linię bojową, broniącą armii od Floing do Givonne, w okolicy Illy. Front ten stosunkowo słaby, był zanadto otwarty od strony Givonny i wsparty tylko od Meusy przez dwie dywizye kawaleryi Margueritte i Bonnemains, oraz brygadę Guyomar, dotykającą krańcem Floing. W tym trójkącie rozłożone obozem stały, 5-ty korpus, dowodzony przez generała Wimpfen i 1-szy korpus dowodzony przez generała Ducrot. Dywizya kawaleryi Michel, osłania pierwszy korpus od strony Daigny, piąty opierał się tyłami o Sedan. Cztery dywizye, Lherilier, Grandchamp, Gose i Couseil-Dumensnil, uszykowane każda dwiema liniami, tworzyły figurę podobną kształtem do końskiej podkowy, zwróconej ku Sedanowi i łączyły pierwszą linię bojową z drugą. Dywizya kawaleryi Ameil i brygada Foutanges stanowiły rezerwę owych czterech dywizyj. Cała artylerya była rozmieszczona na dwóch liniach bojowych. Dwa oddziały armii rzucone były osobno, jeden po prawej stronie Sedanu za Balau, drugi na lewo od Sedanu za Iges. Za Balau stały dywizya Vassoigne i brygada Reboul, po za Iges dwie dywizye kawaleryi Margueritte i Bonnemains.

Rozporządzenia te dowodziły zupełnego bezpieczeństwa. Przedewszystkiem cesarz Napoleon III. nie byłby tu przybył, gdyby nie był zupełnie spokojnym. Givonne jest jednym z tych, które Napoleon nazywał „miską“ a admirał Tromp jeszcze inaczej. Trudno o ściślejsze zamknięcie. Armia jest tam jak u siebie w domu, a nawet zanadto w domu, narażona na to, że ztamtąd wyjść nie będzie mogła. Tem właśnie troskało się kilku dzielnych i przezornych dowódców, jak Wimpfen, ale im nie dawano ucha. W ostateczności, mówili należący do otoczenia cesarskiego, zawsze na pewno można będzie się dostać do Mezières, a przypuszczając nawet najgorszy wypadek, do granicy belgijskiej. Ale czyż potrzeba przewidywać takie krańcowe ewentualności? W pewnych razach przewidywanie staje się niemal obrazą. Wszyscy więc zgodnie byli spokojni.

Gdyby się czegokolwiek obawiano, zburzonoby mosty na Meusie, ale myśl podobna nawet nie przyszła nikomu do głowy. Po co? Nieprzyjaciel był daleko. Cesarz widocznie dobrze powiadomiony, tak utrzymywał.

Armia, jakeśmy to powiedzieli, biwakowała trochę bezładnie i przespała spokojnie całą ową noc 31 sierpnia, mając, a przynajmniej sądząc, że ma na wszelki wypadek zapewniony za sobą odwrót ku Mezières. Pominięto najelementarniejsze środki ostrożności, nie rozesłano rekonesansów kawaleryjskich, nie postawiono straży, tak twierdzi jeden z pisarzów niemieckich.

Do armii niemieckiej było co najmniej czternaście mil, trzy dni marszu. Nie było dokładnie wiadomem gdzie się znajduje. Mniemano że jest rozproszoną, słabo połączoną, źle poinformowaną, że jednocześnie trochę na los szczęścia kieruje się ku kilku punktom, niezdolna do ogólnego dośrodkowego kierunku ku jednemu punktowi jak Sedan. Mniemano, że książę saski idzie na Chalons, a następca tronu pruski dąży ku Metz. Niewiedziano nic zgoła o tej armii, o jej wodzach, ani o planach, ani o uzbrojeniu, ani o siłach. Czy trzyma się jeszcze strategii Gustawa Adolfa lub też jest wierną taktyce Fryderyka II? Nie wiedziano nic zgoła, wszyscy byli pewni że za kilka tygodni będą w Berlinie. Armia pruska! cóż to jest? O wojnie tej mówiono jak o sennem marzeniu, a o tej armii jak o widziadle.

Oto co się działo tejże samej nocy podczas kiedy armia francuska spała. (Dok nast.)

Treść Nr. 39. str.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.